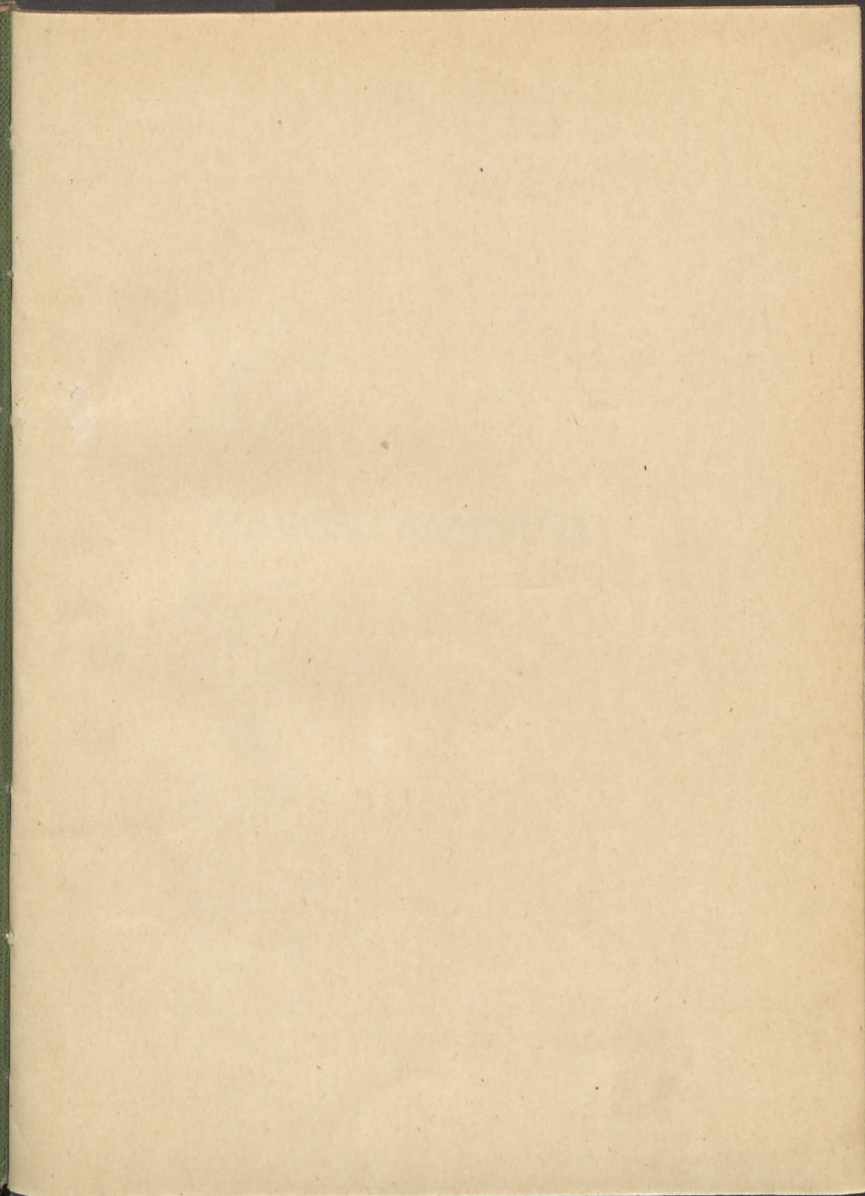
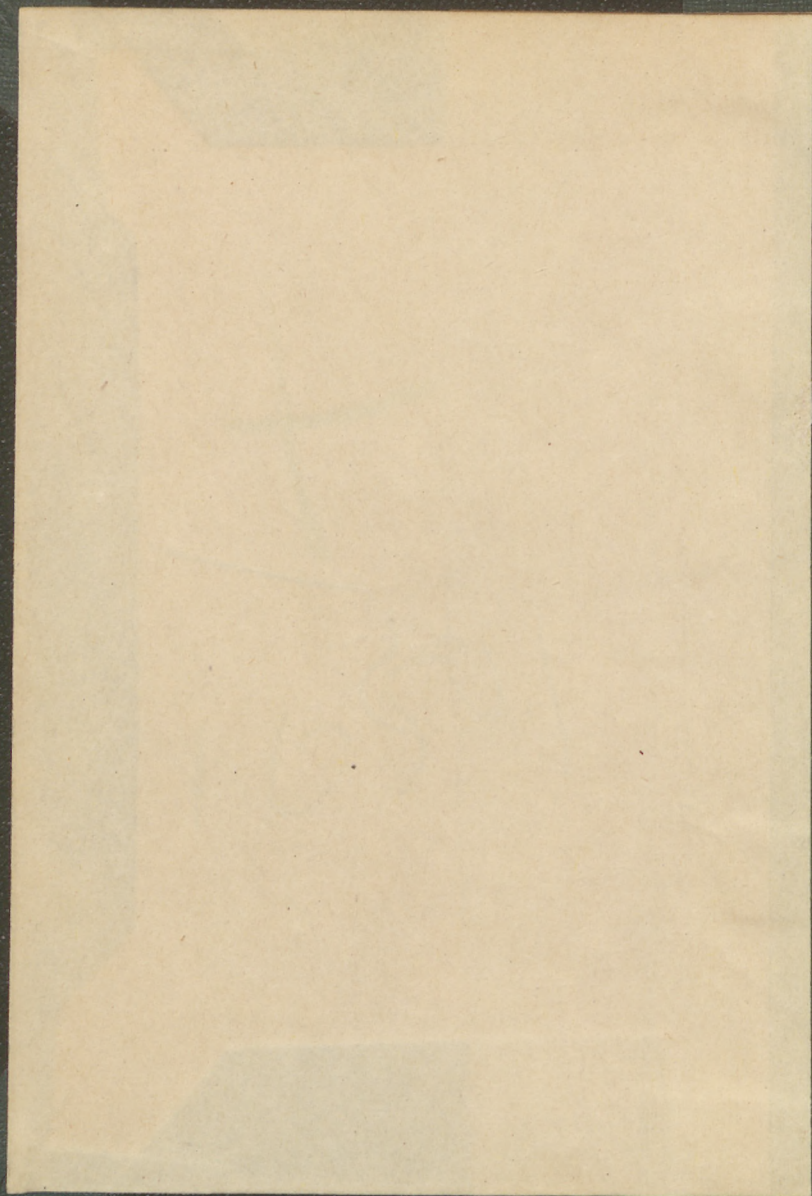


ANCIENNE GEOLOGIE DE SAMOÏTA



+ a

RADOŚĆ SAMOTNA

franska.

EDWARD LESZCZYŃSKI

WYPOŻYCZALNIA KSIĄŻEK

Księgarni T. SZCZĘSNY

Teruń, Szeroka 26/28 Nr. 343.

RADOŚĆ SAMOTNA



WARSZAWA 1923

INSTYTUT WYDAWNICZY „BIBLIOTEKA POLSKA”

WYDZIAŁ KRAJOWY
Instytut Wydawniczy
Towarzystwo Naukowe

V. 182/11



Zakłady graficzne Instytutu Wydawn. „Biblioteka Polska” w Bydgoszczy

EDWARD LESZCZYŃSKI

ur. w 1880 umarł w roku 1921.

Było to w roku 1897, więc dwadzieścia cztery lat temu. Nowaczyński, Perzyński, Orkan, Staff, Żuławski, Lack byli już autorami. Szukiewicz, Rydel niemal starszym pokoleniem. Każdy z nich zamieścił już kilka utworów w *Życiu Ludwika Szczepańskiego*. Dawało to patent na „dekadenta”, prawo do noszenia powiewnej peleryny i obfitego wokół szyi czarnego krawata, związanego w węzeł z puszczonej „na wichry i burze” końcami, tak długimi, że bez trudu można niemi było wycierać z płynów stół kawiarniany u Szmida na Plantach, stół, urzędujący całe bezmała 24 godzin na dobę, z obsadą mało zmienną.

Ja już byłem „redaktorem” miesięcznika *Młodość*. Piśmo to wydawała spółka akcyjna, nigdzie nie zarejestrowana. Skład udziałowców był fantastycznie zmienny, a wysokość udziałów bardzo dowolna: dochodziła czasem nawet do guldena. Niedobory wydawnicze uznawaliśmy za sprawę prywatną drukarza-optimisty, który

też podobno, w celach zapewne abstrakcyjnych, zapisywał je na *debet* miesięcznika *Młodość*. Lokal redakcji mieścił się oczywiście w kawiarni tegoż Szmidta, przy tym samym stoliku, gdzie była siedziba towarzystwa filozoficznego: „Metafizyka stosowana“, zrzeszenia: „Confiteor“, ugrupowania: „Stimmung“, związku: „Nadczłowieczeństwo kinetyczne“, oraz kilku innych instytucyj, pochłoniętych zresztą „na razie“ wynajdywanicm doraźnego kredytu „na stronę materialną życia“.

Przy stoliku tych kilku czy może nawet kilkunastu zjednoczonych legij ducha siedzieliśmy pewnego razu, rozmawiając, nie bez osobistych docinków, najprawdopodobniej na temat: czy wobec Dostojewskiego należy uważać Tolstoja za zdecydowanego, czy tylko względnego idjotę? lub: czy Hedda Gabler poza Symbolem może też być traktowana, jako żywy człowiek? lub: „czy Kanta można porównywać z Nietzchem bez ujmy dla tego drugiego?“ Tak gwarząc (goście sąsiednich stolików nazywali to krzykiem) — nie zauważyliśmy wejścia do kawiarni nowej osoby, który tymczasem u płatniczego Filipa informował się o „lokal“ redakcji *Młodości*. Gdy wyschły, kościsty, wieczyście niedospany Filip wskazał mu nie bez lekceważenia nasz stolik i moją osobę, młody człowiek zbliżył się nieśmiało i cichym głosem przedstawił się:

— Edward Leszczyński.

Spojrzałem nań:

Miał lat już zapewne z osmnaście. Na głowie bujna czupryna maturalna, na wargach puszysty zarys wąsi-

ków i na skroniach krótkie faworyty, zapewne gwoli znaczenia wszem i wobec, że reszta twarzy jest starannie golona.

Było coś nad wyraz uroczego w jego postaci efeba. Dwoje błękitnych oczu świeciło blaskiem szczęścia. Na ustach błąkał się uśmiech szczerości i zadumy zarazem. W gestach pełnia spokojnej wytworności, w ruchach jakiejś ledwo dostrzegalne rozleniwienie, czy może opanowywanie nerwowości. Widać było, że jest powściągliwy i nieśmiały. Mówił, jakby za karę. Nad harmonijną młodzieńczą linią korpusu niósł głowę, jakby rzeźbioną w kamieniu kameę o rasowej linii nosa, o rysach delikatnych napół niewieścich, zakończonych czołem rycerskiem: jakby przed chwilą odłożył przyłbicę, przywykłą do tego jędrnego sklepienia czaszki, do kształtnie rozrośniętych guzów, co jako dwie mocne podpory trzymać mają hełm w twardej osadzie bojowej.

Wystarczyło wysłuchać kilku jego słów, z nieśmiałościami przerwami bąkanych, urywanych, dopowiadanych monosylabami i wiele znaczącym gestem dłoni, stale idącej od właściciela w kierunku nieskończoności — wystarczyło kilka minut i dwa trzy wynurzenia, a poznało się, że jest to człowiek nie z tego świata, że rzeczywistość jest dlań pobocznym szczegółem istnienia.

Przynosił rękopis wiersza do *Młodości*.

Nie wiem, czy potem zamieścił go w jakim zbiorze. Tytuł brzmiał: „Aniele śmierci!“ Wiersz był oczywiście dostrojony do gustów neo-romantyzmu. Był to wiersz ponury i prometeiczny: „Sam chcę zostać! Sam z bez-

brzezną mą tęsknotą, sam z mym bólem zaświatowym,
sam z mych wizyj marą złotą, sam z mych złudzeń snem
tęczowym!" Było oczywiście dużo grobów w tej pieśni,
wiele wygrażeń się i naturalnie przeciwstawienia swo-
jego „ja" wszelkiej przeciętności ludzkiej.

Wstań aniele! Wstań z całunów!
Zadziwionym ludom powiedz,
Że ci zimny zbrzydł grobowiec,
Że pieśń wielka, pieśń z piorunów
Nad narodem się rozwichrzy,
Że go weźmiesz w swoje skrzydła
I uniesiesz w blask bez końca...

Ze wiersz ten przesycony był Słowackim, ani nikogo
z nas wówczas nie raziło, ani nikomu nie przeszkad-
zało. Zarówno „nadludzie kinetyczni", jak i confiteor-
czycy, jak i czciciele stimmungów, metafizycy teore-
tyczni, jak i metafizycy stosowani, dostojewczycy, ibse-
niści, hauptmannowcy etc. — wszyscy, jak byliśmy,
zgodnie wyznawaliśmy bezgraniczny kult dla Słowackie-
go. Być poetą — to być w czemś do Słowackiego po-
dobnym. Leszczyńskiego wiersz wzruszył nas; autor zo-
stał zaproszony do *Młodej Polski* i tuż na miejscu,
u Szmida odbyły się oblóczyny, *vel* oplączyny.

Edward Leszczyński wyrastał, jako twórca, całko-
wicie z tej atmosfery, która przybrała nazwę „Młodej
Polski". Jego rozwój był stałym wywalaniem się z auto-
rytatywnych nakazów, które dla ówczesnego pokolenia
znaczyły się imionami WYBRANYCH, od Słowackiego

począwszy na Maeterlincku skończywszy. Od najpierw-
szych jego poezyj rozpoczyna się trud znalezienia wła-
snego oblicza twórczego. Poeta w każdym fibrze, arty-
sta rozkochany w tej rozkoszy docierania do osta-
tecznej finezji formy, nie ułatwia sobie trudu żadnymi
kompromisowymi efektami. Rozpoczyna przedewszyst-
kiem od systematycznej uprawy intelektualnej, a zwłasz-
cza filozoficznej. Jeden z niewielu z pośród swoich rówieśników
pisarzy zgruntował naprawdę, a nie tylko w „Schlagwortach"
historję myślicielstwa, teorię po-
znania, no i oczywiście najbliżej go obchodzącą dziedzi-
nę Estetyki.

Od wielu innych Polaków, miłośników filozofji,
różnił się darem własnej, samodzielnej interpretacji
szkół, prądów i koncepcyj. Było w nim jakieś rozko-
chanie w bezinteresowności tej wiedzy, w jej przywile-
jach docierania do zagadki bytu, która go i jako poetę
nęciła miliardami krawędzi swojego jestestwa. Stawał
się rozmownym, gdy mógł mówić na swój sposób o tem
samem, o czem mówił Platon i Arystoteles, Kartezjusz
i Bacon, Locke, Kant, Avenarius, Mach, James
i Bergson. Upajał się sposobem myślenia filozoficznego
i niejako improwizacyjną metodą rozwiązywał te ra-
chunki całkowite i różniczkowe logiki, które operuje
nauka filozoficzna. Było to cechą jego umysłowości, że
dwie ukochane dziedziny: emocję poetycką i myślenie
ściśle umiał spleść w jakąś swoistą mu całość wyrazu
intelektualnego. Każda teza, każdy odcień logiczny,
każdy odrębny przystęp filozoficzny do tematu prze-
świeślały się w jego mózgu promieniami wzruszenia.

Poniekąd jako dalszy ciąg tych upodobań żyło w Leszczyńskim namiętne ukochanie języka. Przyrodzonym trybem zdolny, jak niewielu innych poetów, do intuicyjnego panowania nad mową, do stwarzania bogatych a przejrzystych skojarzeń syntaktycznych, — nie poprzestał na przyrodzonym darze. Z tą radosną żarliwością dociekania, oddał się studjom językoznawczym, w nich szukając, jako we wstępie, uświadomienia sobie istoty tego, co nazywał harmonją słowa i o czem później napisał cenne studjum, poza teorią wersyfikacji, zawierające również ogólną estetykę twórczości; niejeden ustęp tego sumiennie przemyślanego traktatu może też być uważany za poetyckie jego wyznanie wiary.

Z natury wykwintny, jeśli nie cieplarniany, całym instynktem swego usposobienia i nastawieniem mózgowem związany był ze wszystkim, co stanowi treść kultury duchowej europejskiej. Żyła ona w nim nietylko, jako zagadnienie poznawcze, ale i jako pierwsza potrzeba życia. Przypuszczam jednak, że najsilniej ze wszystkich przejawów piękna przemawiała doń muzyka. Można powiedzieć, że zewnętrzność jego, jego rysy, jego oczy, wyczarowywanie siły — najżywotniej się ujawniały w chwilach, kiedy grał. Wsłuchanie się we własną muzykę dopowiadało mu wszystko, czego nie mógł wydożyć ze siebie *słowem*. Muzyka też najdefinitywniej umiała przynosić go w ponadrzeczywistość, w stan najbardziej przyrodzony jego tęsknotom.

Albowiem wszystko, co było rzeczywistością, przechodziło obok niego. Wiedział, że istnieją podobno ja-

kieś problemy materialne: pieniądz, pożywienie, zarobkowanie, zdobywanie bytu etc., ale wiedział o tem na modłę człowieka, który wie, że istnieje Melbourne, choć nigdy nie był w Australji. Życie opowiadało mu o swych prawach, ale on tego opowiadania słuchał tak, jak człowiek trzeźwy słucha ballady.

Był w tem niewątpliwie też poetą. Najrozmaitsze bowiem są typy poetów. Są poeci z talentu, ze zdolności, z uporu. Są poeci dla kariery. Są poeci dla sławy. Są poeci zawodowi. Są poeci i wcale nie mierni w chwilach tworzenia, a filistrzy po odłożeniu pióra. On, Edward Leszczyński był poetą we wszystkim. Poetą w swoich utworach, poetą w myślach, w nauce, w czynach, w wyobrażeniu o życiu.

Nie znam rodowodu Leszczyńskiego, ale z postaci jego i z jego usposobienia wyczytywałem, że musiał być synem i wnukiem pokoleń subtelnych i uczuciowych. To dziedzictwo ułożyło się na jego duszy rysem pewnego rozdolikacenia woli, rozpieszczenia energii, jakiegoś bezwiednego kwietyzmu i cichego usuwania się ze sceny życia na parter widzów. Niech się to wszystko dzieje poza mną! Te właściwości, raczej nerwowe, nie pozwoliły mu nigdy skupić wszystkich bogactw duchowych w wyraz należycie wykonawczy. Więc na przykład: był on — w naszym pokoleniu — jednym z najbardziej erudycyjnych znawców literatury wszechświatowej; równoczesna łatwość doskonałej wersyfikacji kwalifikowała go więc na tłumacza arcydzieł poezji obcej: kilka prób jego przekładów świadczą ponad wszelką wątpliwość o tej

jego kwalifikacji, wzmaganej gruntowną znajomością kilku języków, zwłaszcza romańskich. Leszczyński nie wyszedł poza stadjum rozmiłowywania się biernego w tych skarbnicach piękna. Była w tem i powściągliwość i jakaś nieśmiałość literacka — poblask jego natury.

Ta nerwowa grawitacja do marginesu życia nie mogła nie odezwać się i na jego twórczości. Poezja jego, wzór kunsztu wersyfikacyjnego, nie była bynajmniej zimna, jak u innych parnasowych mistrzów słowa wiążanego; przeciwnie: w strofach jego przelewało się uczucie, tętniło serce, ale niemal żadne z uczuć jego nie miało odwagi ostatecznego akcentu. Ciepło nie buchnęło otwartym żarem, erotyka zamykała się w cerebralnej przetwórni wrażeń, słowo nie brutalizowało się w krzyk, sentyment w namiętność. Były to wzruszenia zacisznych wewnątrz i dobranych słuchaczy, nie szukały sobie szerokiej widowni, stroniły od agory, lękały się ulicy. I dlatego może ta krystaliczna harmonijna, ale bez pedału wygrywana melodia duszy, jaką w wiersze swoje zamykał, przeszła przez społeczeństwo bez echa na jakie zasługiwała.

Nie tworzył wiele. Pisał wtedy, kiedy przeżyte poetyckie dopominało się nieodparcie o strofę i rytm. Został kilka tomów liryk i kilka prób dramatycznych. Z tych na szczególną uwagę zasługuje *Konik zwierzyński*. Zakochany w antyku polszczyzny, roił tu o odtworzeniu pra-źródeł legendy, o uchwyceniu mytu na gorącym uczynku stawania się. Matematyka sceniczna może go zawiodła, ale pozostał pełen prostoty w wy-

kwincie poemat, próba rekonstrukcji ducha zamierzonych czasów średniowiecza polskiego, a zwłaszcza jego stylu wewnętrznego.

Nie tworząc wiele, dbał tem bardziej o formę. I w formie doszedł do stopnia tak wysokiego, że czasem ten wyraz zewnętrzny jakby zasłania uczuciową treść utworów. A treść ta nigdy, prawie nigdy nie jest u Leszczyńskiego obojętna. Już ta uprawa filozoficzna jego umysłu nie mogła przecie nie zostawić piętna na poezji. Nie znam żadnego jego wiersza, któryby chciał być filozofją, ale popod wizją poetycką, popod emocją twórczą czuje się niezmiennie intelekt, nawykły do trudu myślowego. A następnie: odczucie piękna. Nie było ono dla Leszczyńskiego zainteresowaniem li tylko, czemś, coby się dało zastąpić innem zainteresowaniem. W jego kulcie piękna była jakaś niewzruszona kwestja życia. Czasem aż deska ratunku:

Poezjo, ty, co modrzewiowe dworki
umiałaś stroić w legendy błękitność
i w snach ujawnić dawnych czynów szczytność
i lzy przemieniać w anielskie paciorki,
a w obłok zorzy kurz mej ziemi krwawy —
o, czarodziejko, co w liljowe dzwonki
dzwonisz po łąkach — szmat życia plugawy
przeczaruj ty mi w bajeczne koronki,
bym już nie żądał złych losów poprawy.
Wszak ci ta trudność nie będzie za trudna:
ten łachman życia przeczaruj mi, cudna!
(*Wiosenne niebo*, 1910).

Zawsze młodzieńczo wierzący w przyszłość życia, zawsze ze smutków i przygnębień rwący się ku otuchom, zawsze wpatrzony w „wiosenne niebo“, z sercem seraficko otwartym, doszedł do wieku, kiedy zaledwie kończy się młodość. Umarł, mając lat 41. Na ostatnie lata, na lata wojny, a potem na orgję materjalizacji patrzył z jakimś przerażeniem bezbronności. To, co się wokół niego działo, wydawało mu się koszmarem, złym snem. Uczuwał się, jakby człowiekiem jakiejś oddalanej przeszłości, czegoś, co już minęło, co się pokryło siwizną, co nigdy nie wróci. Z tej to właśnie epoki, z tych przeżyć powstał cykl poezyj, w książce niniejszej zawartych. Nigdy natchnienie jego nie doszło do takiej kondensacji i nigdy z piersi jego nie wydarły się takie dojmujące uczucia, jak w tych poezjach.

Rozpoczyna je elegja: „Dom mej młodości“. Więcej niż ktokolwiek inny wiedział, jak zużyty to temat, wspomnianie młodości. Ale zapewne też wiedział, że nie może być zużyte, bo nie może być powtórzone to, co jest do dna szczerze. A taką właśnie jest ta elegja. Nie wiem czy można piękniej wyrazić rozkosz rozpamiętywania szczęścia. A jeżeli szczęście każdego człowieka takie jest, jakim jest człowiek, to z opisu szczęścia swego, jaki daje Leszczyński, wзира człowiek, którego nie tknął nigdy brud:

Dom mej młodości w zachodu złocie
trwa wniebowzięty w powietrznym locie;
jako przed laty dumny, wspaniały
trwa na błękicie pomnikiem chwały.

Lata go moje młode wznosiły
na niewzruszonych węgarach siły.
Ufna, że martwy ciężar pokona,
duma wiązała łuków ramiona,
a czar bajeczne ściany malował,
że stał pięknością od stóp do pował
dom mej młodości.

Rzadko kiedy liryka bywa tak wierna prawdzie...

Rzadko który z poetów może o swym idealizmie wypowiedzieć wyznanie tak piękne, a nie kłamliwe. Istotnie tak właśnie było z młodością Edwarda Leszczyńskiego: tak bez przerwy odbywało się w nim budowanie rojeń na błękicie; takim powietrznym wniebowzięciem były jego stany duchowe, tak rzeczywistość przetapiała się w nim na kategorie podniosłości. Może złudzeniem jest tu odczucie w sobie „siły“, na której stawał był ów dom, może tą siłą była raczej wyobraźnia, ale jakże wiernie użył następnej już spowiednej definicji, gdy mówi o „dumie“, co „wiązała łuków ramiona“! Duma duszy szlachetnej, duszy, co nie zaznała żadnego zníženia się do przeciętności, do pospolitości świata; duma serca rycerskiego, duma żrenicy, która mogła spokojnie patrzeć każdemu w twarz! „A czar bajeczny ściany malował“! To dzieje jego bezwzględnie poetyckiego na świat spojrzenia. To ten stały, jakby medjumiczny sen władz twórczych, sen, w którym wszystko przeobraża się w piękno, w którym niema dostępu do świadomości żadna szpetota, żadna małość; to ów szczęśny stan widzenia wszystkiego w zachwyceniu. Tak! Mł-

dość jego była zaprawdę jak dom powietrzny, stojący „pięknością od stóp do powa!”.

Na dom mej duszy rozbłękitniony
z ziemi wygnania patrz szalony
i błogosławie marzeń kolumny,
które w dniach mocy wznosiłem dumny...

Przeszły więc lata, życie przechyliło się ku wiekowi dojrzałości, rzeczywistość twarda, nieubłagana w losie udreki i klęski oplotły marzenia zielskiem ziemi, czas by było już zgorzknieć, czas by było uśmiechnąć się drwiąco do swoich gmachów marzenia, stawianych na powietrznych podwalinach... — Przenigdy! Żadna żmuda życia, żadne chwasty przyziemne, żadna wymowa pospolitości nie przekona serca, że nie jest realne to, co jest — z marzenia. Jedno marzenie jest tylko żelaznym torem, po którym dusza może dopędzić błękity i niebo... Jedna to tylko nieomylna, bez manowców, droga. A jeśliby tej podróży się wyrzec, to cóż wartoby było istnienie? Dopóki więc trwa ten ruch ku nieskończoności, dopóty trwa szczęście, zwane *domem młodości*, dopóty niema miejsca na strupieszenie, na gorycz, na zmineralizowanie soków żywotnych...

Następne zaraz karty w tomie powiedzą nam skąd nad wierszem wziął się ten suggestywny tytuł: *Dom mej młodości*... Tuż za wstępną elegją odnajdziemy trzy następne: „Powrotne fale”, „Pożegnanie” i „Drzewa ogrodu”. Stanowią one tryptyk sentymentu, idącego do serca na widok domu rodzinnego, domu więc jego mło-

dości, dzieciństwa. Natury uczuciowe powiązane są spletem przedziwnej więzi z miejscem, gdzie upływało ich dzieciństwo. Fredro mówi, że za lat dziecinnych, gdy się wtajemniczał w pojęcie Boga i nieba, niebo to widział zawsze w postaci ścian i wnętrza domu rodzicielskiego, a potem, choć wyrastał z tej dziecennej symplicyfikacji wyobrażeń, nie mógł nigdy wyzbyć się odruchu jednozczenia lazurów z obrazem ojcowskiej zagrody. U Wypiańskiego bez trudu można wysledzić Ignienie imaginnacji do tych tematów, z którymi spoiło się jego dzieciństwo. Psychologja zna dobrze ten fenomen, że sny szczęśliwe, sny radosne rozgrywają się najczęściej w ramach i w scenerji, zapamiętanej z lat dzieciństwa. Powrót poetycki Edwarda Leszczyńskiego do wiejskiego dworu, w którym spłynęło jego dzieciństwo, był też niejako koniecznością uczuciową. Dziwne w jego twórczości było raczej to, że tak stosunkowo późno odezwał się w nim ten ton. Poezja jego dwadzieścia lat czekała na tę chwilę i dopiero lata ostatnie, lata zapewne udreki życiowej, podsunęły mu tę czarę uczuciowego balsamu.

Mówię o tem zjawisku dłużej dlatego, że tę trójelegję uważam za najcudniejszą pieśń z całej twórczości Leszczyńskiego. Nigdy przedtem nie doszedł on do takiej *szczerzej* prostoty, do takiej bezwiednej i nieumyślnej prostoty przy nieomyślnej precyzji formy, jak w tym tryptyku:

Pod te kamienne domu progi,
pod dwór ten wiejski, ogród ten



przychodzi morze mej młodości,
przychodzą fale dawnych scen.

Któż z nas w przepływie tego czterowersza nie wyczuje całej bezpośredniości wzruszenia? Jakby samo ono stenografowało się w słowa, a coś silniejszego od namysłu dyktowało wyrazy. Poeta jakby nie chciał wiedzieć o żadnych regułach wiersza, jakby notował tylko to, co przymocował się z serca i wizji. „Idą i szumią, szemrzą, grają stłumionym chórem pieśń zawodną; śpiewają życie me stracone, śpiewają wiosną sił urodną”. To na pewno nie jest obraz wymyślony: to jest żywe wdziałło wrażliwości; tak musiało się dziać, że siedzącemu na ganku w domu rodzicielskim przesunął się w cieniach wspomnień cały korowód wszystkiego, co w jego życiu było. W ciszy wiejskiej, w wyczuleniu nerwów, na nowo zetkniętych z ramami dzieciństwa, w uświadomieniu sobie melancholijnej o niepowrotności tych chwil, które teraz dopiero, jako że były szczęściem, rozumie — w tym wyostrzeniu, może nie wolnym od bolesności, przywołuje wszystko, co po dzieciennych latach nastąpiło. I w tej samej chwili, w procesie przywoływania widm, w całej żywości przeżywania układa mu się wiersz. Pod piosenkowy rytm, pod antyczną niemal cezurę strofkową, która w tym wierszu, jak oddech, pada, sunęły zapewne owe fale, pocie tworząc utwór, który tylko potem przepisać z pamięci trzeba było.

O tym samym domu rodzicielskim mowa jest i w następnej liryce: „Pożegnanie“:

Przyjadę znowu — da Bóg — za rok może,
a ty, coś widział tu mój wiek dziecinny
i młodość moją — rok w rok — stary dworze!
poznasz mię pewnie, lecz poznasz, żem inny...

I przepływa dalej przez cały wiersz jakieś autohypnotyczne wmówienie w siebie, że ten stary dom nie jest przedmiotem martwym, lecz żywym jestestwem, człowiekiem. Jak do człowieka zwraca się doń poeta z przemową, dając mu przypomnienia, zanosząc prośby. Oczywiście, że w technice retoryki poetyckiej bywają takie sposoby stylistyczne, takie umyślne naiwności, mające na celu podnieść efekt. W „Pożegnaniu” Leszczyńskiego niema nic z mechaniki krasomówstwa. Czuje się na każdej zwrotce, że sentyment i emocja naprawdę uczłowieczyła ściany tego starego dworu. Każdy kąt, każdy szczegół i wszystka całość domu przepływają przez krew poety i w tej krwi się sobowtórnie hudują. Odbywa się więc jakby podstawowa funkcja poezji, ta sama, która stworzyła mitologję: doprowadzenie wszystkiego do postaci człowieczej. I w hipnozie Leszczyńskiego stary dom ojcowy staje się istotnie, czemś w rodzaju pierwotnego boga: jest w nim jakaś trwałość, niewspółmiernie dłuższa od przelotnego życia ludzkiego, jest też i jakaś mądrość, jest władza opieki nad pokoleniami. Do tej władzy udaje się poeta z prośbą podmodlitewną:

A gdy usłyszysz niby zgiełk złowrogi,
w komnatach tłumnych myśli moich swary,
to może słowo rozjemcze przestrogi
dorzucisz wówczas, przyjacielu stary.

A potem, już pod schylek elegji, wrywa się ten przeżalony, choć w przyciszonej tonacji wyśpiewany ból:

 Nie gniewaj się na mnie, stary dworzel
 choć od twej doli odbiegłem daleko,
 czar twój mej duszy uleczyć nie może,
 ani mię swoją nie dierzysz opieką.

Następuje wreszcie trzeci człon tryptyku: „Drzewa w ogrodzie“. Jakby dalszy ciąg tego samego *pożegnania*. Z domu, ze „starego przyjaciela“ wyszedł, by pożegnać ogród. „Znam tu każdy zakątek, kształt drzewa każdego“. Jakże to prawdziwie zanotował! Można w życiu zapomnieć wszystko, czego się uczyło w szkołach, czego się doświadczało w życiu, ale każdy skręt ścieżki, po której się biegło dziecięcą stopą, wije się z matematyczną dokładnością przez każdą z komórek mózgowych. Idzie ogrodem i wspomina swoje strachy chłopięce, słyszy zasłyszany wówczas szum tajemniczy konarów i gałęzi.

Więc krokiem poważniejszym przez drzew ciemną bramę wchodzę, a drzewa szumią: „jesteśmy te same, te same, co pamiętasz z dzieciństwa i owa baśń, której żadne ludzkie nie wyjawia słowa, ta sama co przed laty, tai się w ukryciu naszych liści i w świecie szerokim — i w życiu“.

Ta sama baśń w życiu, w księgach i w liściu drzew!
Dla niewielu ludzi wydostanie tej tajemnicy ma ta-

ką wagę, jaką ma ono dla Leszczyńskiego. Czemże było dlań bowiem to namiętne SZLIKANIE, dla którego zaczytywał się w myślicielach i twórcach, czem była jego skwapliwość w wiedzy, jeśli nie radosnem współzyciem z ową BAŚNIĄ, która inaczej się nazywa zagadką bytu? I oto tutaj, w zakątku natury na swojej ojcowiznie odnajduje prawdę, że tę samą baśń, kto umie, może dosłyszeć w głuchem szemraniu liści. Równie niewytłumaczoną, lub równie przejrzystą. Więc każdy, kto tu był przede mną, mógł też, samą władzą przecucia, sercowego domysłu, czy jakby dziś trzeba powiedzieć intuicją — dotrzeć do rdzenia tej baśni. Odpowiedź na to wyszemrze mu „król ogrodu“ prastary wiąż:

 wszystko to już było
tu pod temi drzewami; w takiej samej chwili
ludzie innych pokoleń twym śladem chodzili,
a świat im się rozżalał miłości promieniem,
potem chmurniał i sztywniał i stał się więzieniem.
Znałem ich i przez losów burzliwych koleje
co przeszły nad tym domem, widziałem ich dzieje,
ale ci ich nie powiem, bo niewysłowiony
jest w każdej życia dobie każdy sen prześniony.
Anibyś nie zrozumiał, nie pojął, nie zwierzył,
jak się cudzych krąg uczuć rozwijał i przeżył.
Wkrótce nie pojmą inni, choć zostawisz słowa,
czem byłeś ty — czem twoja z drzewami rozmowa.

Trzy te liryki zawierają w sobie palmę twórczą Leszczyńskiego. Rozpoczęty ewokacją wizji, poprzez rozto-

pienie się w uczuciu i najszerszy animalizm poetycki przechodzi cykl w utworze ostatnim ku tym akcentom wzruszenia już myślicielskiego, po którym zawsze rozpoznana się twórczość autora „Domu mej młodości“. Czem zaś ten akcent emocji, sytnej zadumy, mógł być w uczuciowości Leszczyńskiego, niech zaświadczy jeszcze jeden czterowieś, którym ów wiaz-patrjarcha kończy swój poszmer mądrości:

Tak nim tu jedna zmarszczka przybędzie na korze,
czas odmieni oblicze i sam się przemoże —
i legendę przeszłości, troski i nadzieje,
w chorały naszych koron szumiących przeleje.

Mniemam, że od czasu filozoficznych liryk Asnyka poezja nasza nie wypowiedziała bardziej zwartej czterowiersza, któryby najbezpośredniejszy fibr czucia połączył z tak głęboką, a tak prosto powiedzianą definicją myśli.

Gdyby poza temi trzema elegjami nie był Leszczyński nic więcej napisał, one, te trzy westchnienia ku nieskończoności, zostałyby w literaturze i zapewniłyby mu imię poety. A przecież po za nimi, w każdym z poprzednich tomików znajdzie się kilka krystalicznych piękności. Znajdzie się niejedna cenna poetycka i w tomie niniejszym. Zwróćmy uwagę choćby tylko na jego powitanie Wolności polskiej: „Wy, co idziecie..“

Na odzie tej można śledzić, jak mózgu Leszczyńskiego nie udolna się była cześć żadna banalność i żadna zdawkowość. Nie powiem bodaj żadnej rewelacji,

gdy zauważę, że bardzo znaczny łam naszej poezji patryjotycznej, po dawnej niewolnej skardze, przeszedł dość radykalnie w „hurra!“, którego im więcej w czynach, a mniej w organach głosowych narodu, tem większe zaświadczenie nawet o żywotności tegoż narodu. W odzie Leszczyńskiego nietylko niema tej linijki najmniejszego oporu, ale niema żadnego reanentu, żadnej rekwizytorni uczuć, gdzie gotowe słowa i obrazy są do wynajęcia. Poeta widzi powstawanie z martwych ojczyzny — i w tej chwili, natychmiast duch jego przejmuje się troską *jaki ma być ten człowiek, który dożył szczęścia niepodległości*, jaki ma człowiek, na którego padło budować przyszłość? Słyszał poeta wokół narzekania i jęki na wojnę, na ruiny, na kraj, obracany w perzyny ogniem i mieczem. I odbyła się snąc w jego uczuciach zgroza oburzenia na tę krótkowzroczność samolubstwa, bo choć nie wybucha obelgą, ale w pierwszej już strofie rozłtęniło się wskazanie pozytywne: „wy, co w oczach jeszcze macie dym i żagwie spalenizny“, nie zapominajcie na żywy Bóg, że z tej spalenizny wyrosła Wolność! Przeżyliście nieszczęścia? to wasze-ć bogactwo te przeżycia, bo nauczyliscie się walczyć z dopustem! Macie nieznaną sobie moze przedtem energję: zuzywajcie ją na stawianie, na budowanie:

na ołtarzu tym
zatknijcie słup ogniowy
co w starych zgliszczach tkwił..

Czy to nie jest godny prawdziwej poezji punkt widzenia? Czyż nie z takiej substancji właśnie powinna

być poezja patryjotyczna? Jakaś niezniszczalna młodzięczość, jakiś szturm na okopy zniechęcenia i małości bije promieniami z tej strofy.

Radujcie się, wijcie wieńce, tańczcie, tęćcie siły
„i boski uśmiech złoty powróćcie swej oczyźniel“

Do ziemi obiecanej
z radością wchodzić trzeba!

A potem ma jeszcze jedno pragnienie, utęsknienie i marzenie: oto niech na to odrodzone życie polskie zejda bogi słowiańskie. Niech nad ziemią zapanuje najczystszy, najbardziej rdzenny ton rasy. Niech Polska polską będzie, niech się ze siebie przędzie — aż do największych wykwitów. I wreszcie okrzyk, w którym zamykał zawsze wszystko, co kochał ponad siebie, okrzyk, modlitwa o wiosnę, o radość, o pełnię sił, o dary budowania „domów młodości“. — Oto jest jego oda do zmartwychwstania ojczyzny.

Była ona bodaj ostatnim jego zawołaniem tu na ziemi, zanim znękany życiem, ale zawsze młodzieńczo wiarą, odszedł w zaświaty, tam już w wieczystej harmonji stawiać domy swej młodości wiekuistej, żyć z niebem, które tak całym sobą ukochał.

Adam Grzymała-Siedlecki.

DO MEJ MŁODOŚCI

DOM MEJ MŁODOŚCI.

Dom mej młodości w zachodu złocie
trwa wniebowzięty w powietrznym locie;
jako przed laty dumny, wspaniały
trwa na błękitie pomnikiem chwały.
Lata go moje młode wznosiły
na niewzruszonych węgach siły;
ufna, że martwy ciężar pokona,
duma wiązała luków ramiona,
a czar bajeczny ściany malował,
że stał pięknością od stóp do pował
dom mej młodości.

Dom mej młodości w gościnne progi
przyzywał pieśnią ludzi i bogi
i złotych komnat otwierał cudy,
gdzie gra tęczami królestwo złudy.
Tam bohaterów myśli i czynu
wieńczyła sława liściem wawrzynu;
boskie Charyty, wdzięku siostrzyce
w płasach uśmiechem stroiły lice
i słycać było zwierzenia ciche
już pogodzonych — Wenus i Psyche.

Kto żyw przestąpił próg tego domu
porzuczał pęta dziedzin poziomu;
czar go tajemny wodził w swem kole,

zakłęcie przemian pisząc na czole.
Wokół czarowna grała muzyka,
jak młodość moja smętna i dzika;
w harmonji tonów czułem, że wszędzie
cudna baśń życia dziwy swe przędzie —
dotąd się jeszcze święci jej chwała,
choć sen przeminął, choć pieśń przebrzmiała.

I dotąd jeszcze trwa na błękicie
stracone piękno, stracone życie;
dawnego ognia tlą się ofiary
i żyją, żyją znajome mary.
Cudne księżniczki krasą promienne
w przedziwnych szatach snują się senne —
i z tej królewskiej mojej sadyby
przez diamentowe patrzą się szyby —
w oczy mi patrzą oczu gwiazdami:
pamiętasz jeszcze? — tu żyłeś z nami.

Na dom mej duszy rozbłękitniony
z ziemi wygnania patrzę szalony —
i błogosławię marzeń kolumny,
które w dniach mocy wznosiłem dumny;
skrzydła miłości w błękit rozpinam
i codzień straszną walkę zaczynam.
Bo widzę codzień, jak w te arkady
szturmuje wichrem demon zagłady —
lecz jeszcze stoją — jeszcze je trzyma
moc moja w niebie duszy oczyma.

Lecz kiedyś, kiedyś — — dom moich marzeń
naznaczy palcem anioł przerażeń;
moc się załamie, serce struchleje,
demon zniszczenia w głos się rozśmieje.
Wtedy — o, wtedy! na moją głowę
walić się będą ściany tęczowe;
ciemność je straszna zgasi na niebie —
Wtedy mię w swoich gruzach pogrzebie
— wstrząśnięty gromem od stóp do pował —
ten, który niegdyś światu panował —
— dom mej młodości.

POWROTNE FALE.

Pod te kamienne domu progi
pod dwór ten wiejski, ogród ten,
przychodzi morze mej młodości
przychodzą fale dawnych scen.

Skróś tego morza w czas daleki
— zda się — me serce w głąb upadło,
jak głąz w przepaściach cicho leży,
a jeszcze toni drży zwierciadło —

i pod kamienne domu progi
pod dwór ten wiejski, ogród ten
z poszumem morza idą kręgi —
wspomnienia, fale, dawnych scen.

Idą i szumią, szemrzą, grają
stłumionym chórem pieśń zawodną;
śpiewają życie me stracone,
śpiewają wiosnę sił urodną.

Na brzegu stoję — łowią głosy
znajome mi, znajome.
Czuję, że znowu wszystko żyje
co się przeżyło raz — znikome.

Serce me, co już legło głazem
w otchłani zapomnianej,

znów bije w piersi, w krwi mej dzwoni
swój śpiew niewyśpiewany:

— Bierz w oczy z ócz młodości czar,
rozkoszą drzyj, omdlewaj!
znaj smętek chwil, zawrotny szal,
— zapomnij! — kochaj! — śpiewaj!

Nie żądaj nic, nie stwarzaj nic
dla trwałych spełnień celu!
przez łzy i śmiech muzykę słysz
w twym smętku i weselu!

Za tobą świat, za tobą czas —
jedyne to godziny —
zadźwięczy śpiew — zatętni krew —
wybraniec ty jedyny!

— Znajomych tonów słucham — płonę —
palący ból mię budzi
Serce me, co tam legło w toni
wspomnieniem tylko ludzi.

I tylko błysło w noc miesięczną,
co zdawna mrok już kryje,
— Pod dwór ten wiejski, ogród ten,
przypomnień fala bije.

POŻEGNANIE.

Odjeżdżam — znowu jedna więcej karta
w księdze żywota cicho się odwróci —
treść jej czy była mniej lub więcej warta
— nie wiem, lecz żywa była, a nie wróci.

Przyjadę znowu — da Bóg — za rok może,
a ty coś widział tu mój wiek dziecinny
i młodość moją — rok w rok — stary dworzela
poznasz mię pewnie, lecz poznasz żem inny —

— że tłum codziennych wypadków i wrażeń
znak niezatarty wyorał w mej duszy,
żem wdał odpłynął z falą przeobrażeń,
co w próg twój bije i moc twoją kruszy.

I nowi goście zjadą w moje ślady,
— myśli z obliczem nieznanem mi jeszcze
i poczną długie prowadzić narady
— zawile, smętne, a czasem złowieszcze.

A gdy usłyszysz, niby zgiełek złowrogi,
w komnatach tłumnych myśli swoich swary,
to może słowo rozjemcze przestrogi
dorzucisz wówczas, przyjacielu stary.

Lecz jeśli głos twój jak odzew mogilny
— przeszłości tonem dostojny i siłą —

wpadnie w tłum myśli i przebrzmi bezsilny,
— to nad tem władztwem, co moc swą straciło,

tak się zadumasz jak człowiek podeszły
w starość, gdy sen swój przypomni z przed laty
i tych pokoleń pamiętny, co przeszły,
groźniejszym mrokiem zasnujesz komnaty.

— Nie gniewaj ty się na mnie, stary dworzela
choć od twej doli odbiegłem daleko,
czar twój mej duszy uleczyć nie może,
ani mię swoją nie dierzysz opieką.

Lecz wiem od pól mych, od mogił przydrożnych,
że grób jest cichym życia sojusznikiem
i w krew mą przeszedł miąższ tych mocy zbożnych,
których ty jesteś strażą i pomnikiem.

Więc zawsze będziesz marzeń uroczyskiem,
jasną oazą w życia zawierusze,
zdala świecąca cudownem zjawiskiem,
ku której myśli posyłam i duszę.

DRZEWA OGRODU.

Cisza była w ogrodzie — w wieczornej godzinie
szedłem ścieżką, co w ogród wśród trawników płynie
i zgubiona — zoddali znów błyska i nęci,
aż za krokiem myśl zbłądzi w labirynt pamięci.
Znam tu każdy zakątek; kształt drzewa każdego,
gdziem mógł dobrze się ukryć bawiąc „w chowanego“.
Dziś, choć wichur wrześnieowy gęstwiny nie przerzedzi,
przecież w całym ogrodzie mój los mię wyszedzi.
Zszedłem z ścieżki, nie myśląc gdzie kieruję kroki,
a już nade mną górą płynął szum głęboki;
to drzew zwartych szeregiem półmroczna ulica
jakby zamknięta w sobie życia tajemnica,
straszno tu było dawniej zajrzeć o tej porze —
drzewa szumiały głucho, jak w najgłębszym borze,
a tu gdzie splót węzowy korzeni — na prawo
szło się z sercem bijącym największą obawą,
bo górą, gdzie w pomroce tonią pnienie ciemne,
ni to śmiech, ni jęczenie słyszałeś tajemne.
Dziś jeszcze coś z tej grozy w głąb duszy się wkradnie,
gdy zaskrzypią konary lub liść suchy spadnie.
Więc krokiem poważniejszym przez drzew ciemną bramę
wchodzę, a drzewa szumią: „jesteśmy te same,
te same, co pamiętasz z dzieciństwa, i owa
baśń, której żadne ludzkie nie wyjawia słowa,
ta sama, co przed laty, tai się w ukryciu
naszych liści i w świecie szerokim — i w życiu“.

Zdumałem się, sercem witając radośnie
ten czar, co grał muzyką pierwszej życia wiosnie
i nie przebrzmiał, lecz w duszę z dawną mocą wionie
z tych drzew, choć zmienił tony i tonów harmonję.
Tak idąc wśród tajemnych poszeptów i gwarzeń
zostawiłem za sobą aleję mych marzeń.
Opodał, król ogrodu — wiąz — niezłomną siłą
przetrwał wieki i szumi: „wszystko to już było —
tu pod temi drzewami, w takiej samej chwili
ludzie innych pokoleń twym śladem chodzili:
a świat im się rozłacał miłości promieniem,
potem chmurniał i sztywniał i stał się więzieniem.
Znałem ich i przez losów burzliwych koleje,
co przeszły nad tym domem, widziałem ich dzieje;
ale ci ich nie powiem, bo niewysłowiony
jest w każdej życia dobie każdy sen prześniony.
Anibyś nie zrozumiał, nie pojął, nie zmierzył,
jak się cudzych krąg uczuć rozwijał i przeżył.
Wkrótce nie pojmą inni, choć zostawisz słowa,
czem byłeś ty — czem twoja z drzewami rozmowa.
Tak — nim tu jedna zmarszczka przybędzie na korze,
czas odmieni oblicze i sam się przemoże —
i legendę przeszłości, troski i nadzieje
w chorały naszych koron szumiących przeleje“.

— Szedłem myśląc, a nocy powiew uroczyście
płynął górą — jesienne sypały się liście.

GDY MŁODOŚĆ TĘTNI.

Gdy młodość tętni, życie jest jak wino,
czas — jako czara z cudnego kryształu,
z którego krople dni upojnych płyną
niezdolne nigdy zgasić pragnień szału.

Gdy młodość tętni, wiosny są wonniejsze,
gorętszą krasą rozedrgane lata;
dusza jest tonią, gdzie drzenie najłżejsze
z harmonją istnień miłości się splata —

świat krajem baśni, a podróż — przygodą,
wysłańcem losu każdy nowy człowiek;
uśmiech najmilszej królewską nagrodą,
a objawieniem błysk z pod cudnych powiek.

O, wtedy każde jej słowo najprostsze
jest jak niesiony muzyką erotyk —
a czasem zalśni niby stali ostrze
a czasem koi, jak rąk cichych dotyk.

Gdy młodość tętni, wszystkie świata dzieje
naszej przyszłości kładą się pod stopy
i uskrzydłone wiodą nas nadzieje
przez tęczy bramę na niebieskie stropy.

— Wszystko jest dla nas — — i wszystko ucieka,
na widnokręgach mgłą zasnute siną
i jeszcze nęci zdaleka — zdaleka — — —
— Gdy młodość tętni, życie jest jak wino.

PIEŚŃ PRZESZŁOŚCI.

Była to pieśń, muzyka — dziw,
zawrotna gęźba — gdy sercem żyw
kochałem was — —
i tę i ową
mieniąc królową
niebiańskich kras.

Z upojnych tchnień bajeczny las
słał mi żalсны, namiętny wraz
tęsknoty zew,
co lata młode
wiodł na przygodę
w kraj błędnych stref.

W rozkoszy rytm szumiała krew
a niepojęty przypadku wiew
— skrzydlaty wróż —
leciał przede mną
drogą tajemną
od mórz do mórz.

Przeminął szał młodzieńczych burz,
przeszłością stał się, legendą już —
a błysk uroku
z losów wyroku
na zawsze zgasł.

W NOCY.

Dziwno mi, dziwno. W takt zegar klekocę —
noc w moje szyby patrzy ślepa twarzą —
na stole świeca mdłym światłem migoce.
Tak dziwnie! Cienie jak skrzydła się ważą.

Cicha zaduma bierze mię za ręce,
żałość spogląda w me oczy przesmutne;
snują się jakieś wspomnienia dziecięce,
plączą się w duszy dźwięki bałamutne.

Dziwno mi, dziwno! oto teraz płynę
w wieczność — tam — mroki — niedojrzyć przystani.
Sercem wsłuchany w idącą godzinę
czekam — — na kogo? — jak ta chwila rani! —

Wszystko tak proste i takie zawile,
tak niesłychane w swym tajemnym sensie,
tak odchodzące — na wieki — w mogiłę —
tak bliskie oczom — niby iza na rzesie.

Któż lzy przypomniał? — — Zda się tu przytomne
są jakieś twarze, czyjeś oczy smętne — —
To było dawno — dziś jeszcze — — zapomnę — —
— Zegar godziny wydzwania natrętne. — —

CHÓR PRZESZŁOŚCI.

Przychodzą do mnie chwile minione
i slysze skrzydeł ich szumy
i płyną błogie słowa pociechy
w wieczornej cisze zadumy:

Myśmy nie zmarły — w półsennej dali
znajomy chór cię otacza —
pieśń twego serca w ciszy śpiewamy —
jedna nam doła tułacza.

Siostrzyce nasze, co w pełnym słońcu
chelpią się żywą godziną,
w zaczarowanych snów wejda koło
dopiero wtedy, gdy mina.

W cudne się szaty wtedy obleką,
żar im źrenice rozsmętni,
cieplejszą dłonią ręce ci ścisną,
w oczy ci spojrzą namiętniej.

Dopiero wtedy ty je pokochasz,
wtedy zatęsknisz za nimi,
ty — co tu żyjesz z klątwą na czole,
byś nic nie kochał z tej ziemi.

Niejedno dawne zbudzi się słowo —
jak świeżych woń sianozęci,

w pierś ci zaleci szczęścia zapachem
żałością duszę rozsmęci.

I kwiat, co w słońcu na naszej skroni
w straconej uwiadł godzinie,
w brylantowego świetle księżycy
znów się wspomnieniem rozwinie.

Lecz — pomnij — życie, co cię unosi
za dni ubiegłych granice,
i nami władnie berłem swej mocy
i nasze zmienia wciąż lice.

Więc nigdy wspomnień nie zgłębisz treści,
bo jak prąd życia niezmiennie —
i razem z tobą w przyszłość płyniemy
zdobywać światy promienne.

NA ZAŁOMIE.

„Nikt nie zawróci z drogi żywota,
nikt nie przekreśli swej doli;
z więzów, którymi duch się omota
żaden go bóg nie wyzwoli.

Próżno chcesz życie zacząć od nowa,
wziąć rozbrat z własną żalobą;
wszystko, coś przeżył w sercu się chowa
i wszędzie pójdzie za tobą.

Czynów twych brzemień ducha obarczy,
niweczając nowych pęd chęci;
wstecz się oglądasz, sił ci nie starczy
w walce z upiorem pamięci.

Miłość cię lotna już nie uskrzydli,
już nie dolecisz do mety;
serce zgorzkniało, ludzie ci zbrzydli,
los twój wypełnion — niestety!”

„Los mój spełniony — na dawnej grzędzie
żaden się kwiat nie rozteczy —
aż kiedyś nowe ducha orędzie
w godzinie cudu zadźwięczy.

Wtedy ocknięty w powrotnej wiosnie
różami czoło uwieńczę;

zakwitną znowu usta miłośnie,
zakwitną myśli młodzieńcze.

W przyszłość obróćę oczy zdziwione,
gwiazdę żywota pozdrowię,
młodości świeżem tchnieniem przewionę
w powieści żywej osnowie.

Nowych mię bytów kręgi ogarną,
w nowe pognają pustosze;
więc przyszłym losom jak dań ofiarną
kwiat mego życia przynoszę“.

Życia mego piękność zgasła,
— pobłyskiem zórz gra jeszcze —
duchowi memu jakież hasła
i jakiż cel obwieszczę?!

Już nie poniesie myśl zuchwała
swych skrzydeł dumnym lotem
własnym ciężarem je złamała,
dosięgła własnym grotem.

Zraniony ptak u nóg mi leży —
straszna go niemoc więzi;
przeleciał ziemię do rubieży
i bez oliwnej legł gałęzi.

Przeleciał niebo, pieśń swą nieraz
już bliski stroić w sfer muzyce;
w zranionej piersi zamknął teraz
niewyśpiewaną tajemnicę.

Skrwawione życia strzępy —
łachmany dawnych godów —
Ach gdzież jest sen uroczy?!
ach, gdzież jest woń ogrodów?!

Ach, gdzież są te fontanny
grającej marzeń tęczy,
co jeszcze pamięć złoci,
co jeszcze w duszy dźwięczy?!

Skrwawione życia strzępy
— wiar hula na pustkowiu —
— wykroty drzew zwałonych
— i niebo to z ołowiu.

— I skarga duszy głucha
na zgliszczach dawnych godów —
Ach, gdzież jest sen mój złoty?
ach, gdzież jest woń ogrodów?!

O, czary spojrzeń, dźwięków załamania,
o linje twarzy nieuchwytną grą
wkreślone w bycie dla wieczności trwania!
Gdzież się podziały? ach, gdzież teraz są
te oczy — linje — dźwięków załamania? — —

Skonał ten uśmiech piękniejszy nad zorze
— jak szczęście słońca wśród obłocznych szpar --
a serce myśli tej objąć nie może,
że nigdy więcej — choćbym z żalu marł —
nie błysnie uśmiech piękniejszy nad zorze.

I dotąd nie wiem, czem był i co znaczył
ten nasz bez jutra niepojęty szal —
nic nie zbudował, nic nie przeinaczył
tylko swem tchnieniem kwiat nadziei zwał.
— Ten szal bez jutra czemże był? co znaczył?

Daremnie serce w dawny rytm uderza
coraz to trudniej rozniecić ten blysk,
co życie świata z marzeniem sprzymierza
bo już spowiła mgła jesiennych rżysk
serce, co próżno w dawny rytm uderza.

JESIENIA.

Patrzysz tak dziwnie, patrzysz tak dziwnie —
Kochasz mię? — Nie mów, żem w błędzie.
Dzisiaj chcę oczom wierzyć naiwnie;
i wszystko innym już będzie.

A gdy koniecznie, a gdy koniecznie
chcesz dać odpowiedź mi dłużną,
mów bałamutnie, mów niedorzecznie,
bym snuł wciąż nową przędzę marzenia,
chociażbym marzył napróżno.

I cóż ci szkodzi? — i cóż ci szkodzi
słowami klamać swej myśli?
Nie wiemy nigdy pókiśmy młodzi
czyli nam drogę rozum stateczny
czy kaprys serca zakreśli.

Czujesz? o miła! — czujesz, o miła?! —
wiew płynie cierpko-wilgotny —
Stroi się krasą ziemi mogiła —
I nas oplata, chłonie nas w siebie
tej chwili czar bezpowrotny.

Słyszysz, jak dźwięczy? — słyszysz, jak koi
harmonja jesiennej nuty?
Słów nie chcę — spojrzuj! — Lica ci stroi
uśmiech półsmętny, uśmiech znikomy,
jak promień mgłami osnuty.

ELEGJA.

— Umarło mi cudne miasto —
cudne miasto moje;
spowiłem je w smutek,
jak w żałobne zawoje.

— Gdzież te wiry kołujące, tęczowe,
tak niedawno wieńczące mą głowę
w jasnym salach w godzinie upojeń?
Cóż te ulice urzekło?
czemuż z nich życie uciekło,
wałąc w gruzy pałace mych rojeń?

— Gdzież słowa tych porozumień prawdziwych,
co dźwięczały jak strumień fal żywych,
duszy niosąc duszę w podarunku?
Ach! beznadziejnie zwietrzały
te czarodziejskie kordjały,
co w uroczym iskrzyły się trunku.

Onych przemian nie rozumie myśl baczna —
— Jaka sztywność w tym tłumie dziwaczna!
Rząd za rzędem — manekinów tyle! —
Życia mi szkoda i krasy —
ludzi wspominam i czasy,
co przewiały jak barwne motyle.

— Umarło mi cudne miasto —
cudne miasto moje;
spowilem je w smutek,
jak w żałobne zawoje.

ROMANCE

WYSPA SZCZĘŚLIWA.

Był ongi król znamienity,
przesławny rycerz za młodu.
Bez wojska raz i bez świty
pojechał w krainę Wschodu.

A gdy powrócił, stugłośnie
rozbrzmiały pieśni z meczetów,
a w zamku święto radośnie
głosił dźwięk kotłów i fletów.

I wino lało się z kruży
w królewskim złożonym domu,
lecz król o swojej podróży
nie wspomniał słowem nikomu.

Daremnie piękna królowa
wdzięcznemi pyta się usta
o powód smutku, co chowa
w sercu zamkniętem na spusty.

Próśb, zakłęcz głos go nie wzrusza,
wzrok mglisty tli się obłudnie,
tajna go trawi katusza
i z roku na rok tak więdnie.

A gdy śmierć uczuł, co społem
sięga pacholki i króle,

dworzan otoczył się kołem
i z każdym żegna się czule.

Uściskał żonę stroskaną,
synowi berło oddaje —
— „Żegnajcie! — w drogę nieznaną,
w dalekie odchodzę kraje.

O, Allah, Allah potężny!
przenieś mię w kraj ów szczęśliwy,
w te cuda, dziwy i blaski,
którem oglądał raz żywy.

Na krańcach ziemi, daleko,
w lazurach przezyczonej wody
pod bożą kwitnie opieką
wyspa wieczystej swobody.

Tam, do tej wyspy przed laty
drogę mi czary otwarły;
nie żał mi życia utraty,
jeśli tam wrócę — umarły.

Nie żał mi życia — zaiste
nędzną parodją mi było
tych boskich chwil, co świetliste
grały tam pięknem i siłą.

Dzisiaj jeszcze ono zacisze
widzę w otoczu palm wiotkich

i serce moje kołysze
pieszczota hurys przesłodkich.

Próżnobył słowem malował
cud kształtów, dziw bezustanny,
pałace z tęczą u powal
i srebrne w blaskach fontanny.

Zbyt rychło los młę niezwrotny
wprzęgnął w człowieczych dni koło;
odtąd wśród ludzi samotny
posepne chyliłem czoło.

Jak księżyc morze z łożyska
przemóżną dźwiga pieszczotą,
tak cudne szczęścia zjawiska
serce me rwały tęsknotą.

Przecież nie zwiodłem mych ludów,
ster rządów dzierząc lat mnogo;
dziś rzucam jarzmo swych trudów,
świetlaną podążam drogą“.

— Raz jeszcze żegna się z żoną,
przyzywa syna i rzeczce:
„Żyj z bogiem, chęcią szaloną
nie leć za kresy człowiecze“.

— Już usta słowem nie władły,
przygasa, mgli się wzrok szklisty.
Na twarzy grał mu poblądziej
odblask krainy złocistej.

BŁĘDNY PIELGRZYM.

Gdzież jestem? czyż błędę tak wieczność bez celu?
Ni ludzi, ni wioski, ni wieżyc kastelu,
ni drogi wypatrzeć nie zdołam.
Czy zbroja tak chrzęści?
czy wściekle me pięści,
gdy niemoc swą echem obwołam?

W świetlanej dzielnicy — pamiętam — dzień mijał
radosny. W turniejach bóg dłoni tej sprzyjał.
— Pieśń — wino — serdeczne porywy —
księżniczka — — a potem
czar kłątwy — z błekotem
ktoś puhar podaje zdradliwy.

Przywidy, majaki — sen duszę mi pęta —
nie pomnę — dni — lata — aż naraz ocknięta
myśl w przeszłość się jasną wymyka —
lecz w głazów otoczy
szukają me oczy
daremnie zbawczego promyka.

Mgły bezmiar przede mną. Pod niebem z ołowiu
dłoń w próżnię wyteżam i szukam w pustkowiu
daremnie przyjaciół, czy wroga.
Ni druhów, ni braci —
w bezbrzeżnej pustaci
daleko od świata i boga.

Glazami jak szańcem zły czar mię osaczył
i nie wiem, gdzie jestem; czym drogi zabaczył,
co może koło mnie gdzieś blisko;
czy tonę w błękitach,
na wierchach, na szczytach,
czy w gruzy zatapiam się nisko?

Ni gwiazdy, ni słońca — myśl ginie w rozterce
i tylko w przestworzu zgonione me serce
godziny wieczności odmierza.
Pod nogą gruz pęknie,
lub w ciszy odszczęknie
zczerniała zbroica rycerza.

I zawsze daremnie ma dusza zaciekła
do walki wyzywa otchłanną moc piekła
i wichry, i gromy, i chmury.
Mym głosom pustkowie
raz po raz odpowie
szyderstwem w poświstach wichury.

I tylko raz po raz uchwyci za gardło
żał dziki za życiem, co w pięknie umarło —
i zagra muzyka bez słowa.
I tylko na oczy
ma przeszłość się tłoczy —
ma przeszłość jak zorza tęczowa.

Och, gdyby to w walce — tym oto brzeszczotem
wyrąbać się z ciżby — jak ongi pokotem

pokładłbym szeregi mych wrogów;
lecz oto niewidny
wróg w matni ohydnej
wśród skalnych uwikłał mię progów.

Ach, dokąd w tej kłątwie — odpowiedz mi, Boże! —
jak upiór mam błędzić po martwym ugorze
wśród strasznych bezpłodnych mozoleń?
Z chmur twoich rozdzieży
niech w pierś mą uderzy
grom śmierci piorunem wyzwoleń.

Niech zbudzi się znowu, gdy rzucę tę ziemię
moc życia zaklęta, co w piersi mej drzemie,
jak piękność motyla w poczwarce.
— Promienny i młody
na nowe przygody,
na nowe polecę znów harce.

ANNA Z MELSZTYNA.

— „Rycerzu dumny i paniel
krwią uznoileś wiek młody;
dziś miłość zwie cię na gody
miłości tej zwól władanie“.

— „Żałośnie patrzę w twe lica,
serce rozrzniasz na nowo;
nieszczęсна nad twoją głową
zawisła kłątwa rodzica“.

— „Świat taki cudny dokoła —
my dwoje w błękit spowici,
my dwoje w szczęściu ukryci —
los nas wysłedzić nie zdoła“.

— „O, Anno, Anno z Melsztyna,
nie płacz Ty za mną nieboga;
krwawa prowadzi mię droga,
rycerska nęci przyczyna“.

— „Dalekich rojów wysłanko,
słysz! śmierć mam w oczach pisana;
sława bezcenne swe wiano
rozdaje śmierci kochankom“.

— „Mróz śmierci powiał od ciebie —
— bierz chwilę życia jedyną!

oczy i usta przemina,
gwiazdy przemina na niebie“.

— „W dziewiczej krasy ozdobie
jak wonnie płoniesz mi kwiecie;
mnie z wichrem pędzić po świetle,
żem dziwny ludziom i sobie“.

— „W klasztorze zamknę mą wiosnę,
w serdecznym umrę oblędzie,
lecz z ziemi, gdzie grób mój będzie,
wykwitną różę miłosne“.

— „Niech głoszą wonne ich wieści
żywota cud tajemniczy
przez blask twej krasy dziewiczej,
przez ciernie mojej boleści“.

ROZAURA.

Piękną była — snąc — Helena,
którą zwabił ów lowelas
trzód idyjskich pasterz — o nią
wojnę długą wiódł Menelas.

Piękną była boska Lais —
też Petrarcki wspomnę Laure,
lecz przysięgam, że piękniejszej
świat nie widział nad Rozaurę.

Na Lugarno we Florencji
z matką żywot wiodła skromny;
kto ją ujrzał raz, ten potem
chodził w tłumie nieprzytomny.

Choć z prostego ród jej stanu,
taki wdzięczny czar ją zdołał,
że z margrabiów, książąt, duków
niewolników jej sposobił.

I napróžno fiołkowe
przysłaniała rzęsą oczy,
bo za tysiąc starczył grotów
jeden promień ich uroczy.

Jeden promień, co się wymknął
bez namysłu, w dobrej wierze,

ranił serca co najtwardsze
przez zbroice i puklerze.

A Rozaura ponad wszystko
ukochała swą dziewczęcą
czystość, dumę, przeto żadnych
sidła pokus jej nie nęca.

Więc jak srogi mór naokół
oblęd szerzył się miłosny —
ów — sam własne skrócił życie,
tego — zgładził druh zazdrosny.

Z taką klęską nie szła ongi
rozwydrzonych furja Menad,
jak wdzięk tego dziecka cnoty —
— aż uchwalił w końcu senat

florentyński, by woal gęsty
odtąd lice jej zacieniał.
Cóż?!... gdy z chodu, z fali lona
żar złowieszczy w tłum promieniał.

Dwakroć stała już przed sądem,
lecz raz po raz sędzie miękna,
grzechu czarów tam nie widzą,
gdzie króluje boskie piękno.

Aż raz trzeci starców wyrok
nieszczęśliwą oddał katu,

by przez „poenam maleficii“
wreszcie spokój wrócić światu.

Lecz gdy kat jej spojrział w lica
przepromienne, rzucił topór
i nie ważąc tknąć się pięknej
oddał życie za swój opór.

Z tłumu zbirów i siepaczy
nikt żelaza się nie ima;
w końcu życiem ją obdarzył
wielkoduszny Piotr Cosima.

Krótką wszakże była radość,
cnej Rozaury. W onym czasie
kazał książę dom Maryji
odbudować w świeżej krasie.

Malarz z Rzymu, Frangipani,
do owego przyzwan dzieła
gdy Rozaure ujrzał w tłumie,
już w nim radość się poczęła.

Już go wino nie weseli,
ani druhów płocze figle;
w swej świątyni sam pracuje
drzwi zawarłszy w niej na rygle.

Aż gdy mijał dzień już trzeci,
przeczuwając los zlowrogi,

kazał biskup drzwi wylamać
i w świątynne wstąpił progi.

Spojrzał — zdumiał się — u szczytu
na krawędzi wątlej deski
klęczy młodzian — zatopiony
jak w modlitwie — a zaś freski

wszystkie mają twarz Rozaury,
bo od dołu aż do pował
mistrz w obłędzie Madonn twarze
jednym kształtem przemaalował.

Uwięziono ją i jego,
a mieszczanie i notable
i sąd cały orzekł zgodnie,
że w tem były sprawy djable.

Przeto biskup konsekrował
zbezczeszczony gmach świątyni.
Malarz wkrótce zmarł w obłędzie,
a cuda winowajczyni

za djabelskich czarów zbrodnię
popelnioną najwyraźniej
miała żywot swój do końca
w najciaśniejszej spędzić kaźni.

Że zaś kara im jest sroższa,
tem ci pewniej grzech odkupi,

więc jej cudną twarz wtłoczono
w twardą maskę czaszki trupiej.

Dłgie lata tak nieszczęsna
przejęczała w doli łzawej;
aż jej wreszcie wolność wrócił
syn Cosimy przełaskawy.

Wolność wrócił jej, lecz ukaz
wielkodusznej księcia łaski
na jej licu już nie zatrze
przeokropnych śladów maski.

Bowiem kiedy sztuką żmudną
zdjęto z twarzy trupią larwę —
zgrozo! — twarz ta już straciła
ludzki wygląd, ludzką barwę.

Żywy odlew trupiej czaszki
patrzy wzrokiem upiornicy.
— Dopust boży! — więc do księcia
idą z wieścią tą strażnicy.

Księżę śle ich do biskupa,
a zaś mąż ten śmiały rzecze:
„Przed bożego kłatwą ciosu
żaden grzesznik nie uciecze.

Pohańbiona pycha czarta
w której żyła ta niewiasta,

zalnica — istna zguba,
kłęska, srom, zakąła miasta.

Niech pokaże sama światu,
jak Bóg karze zły uczynek;
więc otrąbić mi dziś jeszcze,
że ją będą wieść na rynek.

Ksiąę wyrok ten pochwalił —
Już tłum czeka niecierpliwy —
a Roaura w swojej celi
tak się modli: „Sprawiedliwy

Boże, ojce wszelkich stworzeń!
Ty wiesz przecie, że nikomu
nie życzyłam źle, więc nie daj,
bym szła dziś pod pręgięz sromu —

by mię sprośny tłum otoczył
jadowitych szyderstw kołem
i to piękno poniewierał,
co z liljami Twemi społem

wzięłam ongi z rąk Twych hojnych —
więc gdy szczęścia tu na świecie
już nie znajduę, Ty miłościw,
weź do siebie swoje dziecię!“

Tak modliła się w pokorze,
a śnać była Bogu miła,

bo gdy przyszli wieść ją z celi
cna Roaura już nie żyła.

Przecież nawet i umarła
służyć może ku przestrodze
i zaświadczyć, jak jej dumę
dzisiaj Pan poniżył srodze.

Tak pomyślał biskup światły
i zarządził, by w katedrze
wystawione w trumnie zwłoki,
a gdy ksiądz z nich całun zedrze,

wtedy on sam z kazalnicy
rzuci słowa piorunowe
i na postrach niewiast płochych
wskaże straszną zmarłej głowę.

Ledwie dzień następny świta,
nieprzebrana fala tłumy
z miasta, przedmieść aż z Fiesole
do bożego śpieszy tumu.

W środku nawy stał katafalk
wywyższony ponad wiernych —
Dies irae już rozsiało
dźwięk przerażeń swych bezmiernych.

Więc już biskup we fiolebach
ręką daje znak z ambony —

Cisza — — wokół dech zamiera
w piersiach ciżby przerażonej.

Zaszeleścił kir złowieszczy
i osunął się z nad trumny —
i w tej chwili poprzez kościół
szmer zachwytu wionął tłumny —

Biskup stał jak posąg z głazu
a w zamęcie już się tłoczy
rzesza ludu do tych stopni,
kędy cud ujrzały oczy.

Cud! — zaiste — bo te lica,
które odcisk maski skaził —
przeokropne jeszcze wczora —
dziś czar piękna przeobraził.

Wdzięk Madonny ekstatyczny
zastygł w słodkim półśmiechu,
głosząc światu z lic promiennych,
że ich piękność jest bez grzechu.

— Że tej zmarłej los pokutny
już odkupił ziemskie skazy,
że najwyższy Mistrz piękności
nie dopuścił swej obraży.

— O tym cudzie wieść się niosła
stujęczycznej famy głosem —
i sam książę się zadumał
nad Rozaury dziwnym losem.

ROMANZA.

Utopili ją w fali
u brzegu w noc miesięczną,
wszyscy trzej ją kochali...
— miłość była niewdzięczną.

Trzech paziów, trzy chłopięta
miała pani z kastelu —
żarem uczuć nietknięta
wśród przyjaciół, sług wielu.

Utopili ją — fale
zwarły ciemne swe łono.
Trzej młodzieńcy na skale
pieśń śpiewali szaloną.

Obcą jakąś potęgą
rozchyłały się wargi,
brzmiącą wiły się wstęgą
słowa bólu i skargi.

A kiedy pieśń skończyli
rzekł jeden: „bracia drodzy!
Jak nędzniśmy w tej chwili!
Jak nędzni i ubodzy!

Choćby nam skarb zaklęty
czelście skał otwarły,

czem perły i diamenty,
gdy oczy jej umarły?"

Rzekł drugi pelen skruchy:
— Łzy na rzęsach mu zwisły —
Piekielne jakieś duchy
opętały nam zmysły!

Już knieją nie wyruszę
przy mej pani na łowy;
Bóg będzie sądzić dusze,
kat będzie ścinać głowy".

A trzeci rzekł — bladziutką
twarz w błędny uśmiech strojąc:
Tam fala ją cichutko
kołysze, pieśnią kojąc.

Tak — wiem, że śni uśpiona
pod srebrnych wód ukryciem;
nie mogła umrzeć — ona,
sam uśmiech jej był życiem.

Splątanych fal chór ciemny,
jak ludzkich spraw zawilość
jednoczył w rytm tajemny
•i zbrodnię ich i miłość.

NA PRZEŁOMIE

Już cię nie widzi ludzki tłum
— promienna życia Pani!
ginących światów zakrył cię rum,
przesłonił wir otchłani.
Przecież wciąż jesteś — tam — daleko —
jak słońce za chmurami —
za górą zwalisk, za krwawą rzeką,
za tem plugawcem morzem nędzy,
co ludzkie serca plami.

Ujrzą cię oczy, lecz nie pędzej
— na rumowiskach zgliszczy —
aż rozpętana hydra zbrodni
swoją własną plód wyniszczy.
Zalśni znów rozblask twej korony
wysoko ponad tłumy;
wielbić cię będą serc miliony
i świętych lasów szumy.

Słowiańskie bogi w puszczy głuszach
z pradawnych wstaną leży
odnaleźć znów w ludzkich duszach
swoją świątynię, świeży.
I głosić będą tchnień twych dzieła
w bezkresy mórz i lądów,
że Pani życia znów ujęła
berło swych boskich rządów.

ZWYCIĘSTWO ORMUZDA.

Zwyciężaj, Ormuździe! zwyciężaj!
nim nas ciemności pochłona;
nad nami ramię wyteżaj
z słonecznej tarczy obroną!
Rumaki rwą się na uździe
u twego złotego rydwana —
wichrem pośpieszaj Ormuździe!
Iam ciemną moc Arymana!

Patrz! tam u nocy krawędzi
wróg twój się zrywa — już pędzi — —
Wężowe w powietrzu śmigi
już chłoszczą bestje piekielne
ciemnego Boga kwadrygi.
Z nim razem pychą bezczelne
demonów wojska wybiegły
na strasznych wałę się chmurach —
Pożary niebo zażęgły —
Ratuj nas, Boże promienny!
Patrz! na twych boskich lazurach
z trwogą ucieka blask dzienny;
pół nieba ciemność objęła,
pół świata wali się z trzaskiem —
Ormuździe, siły wyteżaj!
swojego lituj się dzieła!
Promiennej mocy swej blaskiem
zwyciężaj!

Za tobą jasne zastepy —
szyszaki diamentowe —
płomiennej jasności miecze
ciemności szarpiają na strzepy.
Zwarły się tłumy orężne.
— Nad światem swoim miej pieczęć!
niech oczy twe niedosiężne
piorunem gniewu porażą
tę hydrę wrażą!

Przebóg! na twoją stolicę,
na blanki pną się perłowe —
sławy twej jasne stannice
rwą z wieżyc gryfy dwugłowe.

Gdzie jesteś tej chwili, Ormuździe!
Gdzie twój królewski wóz?
Gdzież ócz twych świetlany czar?
W pękniętej ziemi bruździe
siarczany kłębi się war —
Potworna ziele zaślada —
świat cały wali się w gruz
w przedwieczny chaos zapada.
Straszna to sądu godzina —
noc czarna w niebo się wspina —
struchlałe serce się tłucze —
Któż straszne okielza tucze?
Ormuździe! gdzieżeś? — Ormuździe!

Ścierpiż-że onaż zakałę
co twoją druzgoce chwałę

potwornym mocy swej młotem?
Ścierpisz, by one służalce
zbrodni przemogły w tej walce
wojska twe ścieląc pokotem?
— aby piękności twej chramy
w bezkształtne trzaskali złamy
znak twój bezczeszcząc słoneczny
— aby tak wlekli w obroże
twe dzieci, twe syny boże
przed ołtarz pychy wszetecznej!?

Widzę cię — — Z chmur się wydzwignął
twój kształt nieogarnięty.
Wzrok twój w piorunach zastygnął —
miecz błyska przez chmur odmęty —
Niebios a tnie na poły,
Na rozwidnionej przezroczy
grzmiący twój rydwan się toczy.
Przy tobie światła anioły
promienne ciskają groty —
trąb złotych leci wołanie —
szatańskie łamią się rotę — —
Czarna ich krew na rubieży
ziemi i nieba się szerzy
posoką ciecze w otchłanie.
— Ormuździe! wyteżaj ramię!
Już moc twa wrogi połamie —
Już słońce płonie u szczytu —
pierzchają dzikie szeregi — —

Światłość wypełnia po brzegi
wezbrany puhar błękitu.
— Syny ty swoje napoisz
niezgasłym łaski swej zdrojem,
na wieczność ducha uzbroisz,
by moc zdobywał przebojem.

Przez światy, przez gwiazdne łęgi
przez zórz tęczowych łuny
już lecą chwały twej gońce,
już grają twoje zwiastuny
hymn niewysłownej potęgi.
Oto złączeni w tym chórze
z najlichszym tworem w naturze
Ormuździe, wielbimy ciebie
i wielki znak twój na niebie
— słońce — —

WY, CO IDZIECIE...

Wy, co idziecie w dom,
W godowy dom ojczyzny,
a w uszach macie grom,
a w oczach jeszcze dym
i żagwie spalenizny —
postawcie ołtarz nowy
i na ołtarzu tym
zatknijcie słup ogniowy,
co w starych zgliszczach tkwił,
by żarem swej opieki
płomienił się przez wieki
pradawnych ogniem sił.

A potem wieńcząc czoła
zatańczcie pług dokoła.
W tanecznych ciał otoku
niech ginie władza mroku,
co żar ten chciała zmóc;
niech w jasność go rozdmucha
nowego tchnienie ducha,
młodzieńczych tchnienie płuc.

Idący dotąd smutnie
— wśród własnych gniazd Heloty —
wy, którym próchnem groby
świeciły w dni szarzyźnie,

dziś z klątwy i żaloby
rozgrzeszcie wasze lutnie
i boski uśmiech złoty
powróćcie swej ojczyźnie.

Wy, co idziecie młodzi
olbrzymiej fali pchnięciem
wyrwani z tej powodzi,
gdzie jeszcze wśród odmetów
chybocą maszty wdali
tonących widm okrętów
— za wami toń złowroga,
zdradzieckich wirów prądy,
— tanecznie lekka noga
niech nowe depcze lądy!
Przez kwietne niech was lany
promienne wiodą nieba
— do ziemi obiecanej
z radością wchodzić trzeba.

Z bezkresnych wód roztoczy
na jasny nieba sklep
Apollo wóz swój toczy —
młodzieńczy władca — — Feb.

Noc czarna w otchłań leci,
złych wiatrów pomruk ścichł;
Na jasnem niebie świeci
kołowrót złotych szprych.

Stworzenie wkrąg przesyca
piękności wiecznej blask;
uczciecie wraz bożyca,
rozdawcę złotych łask!

Niech wóz swój wykąpany
w egejskich wód kryształ
nad polskiej ziemi łany
w promiennej toczy chwale!

— Już pieśni jego grają
nad łąki, nad rozłogi
i już się z nim bratają
słowiańskich gontyn bogi.

— Niech Żywia bezustanny
rozmnaża plon dokoła,
Światowid i Dziewanny
w opiece dźierzą siola.

Pogoda niech się złości
Wesołek niech się bawi,
a Jesse, bóg dobroci,
wszechziomom błogosławi.

Niech się przebudzą knieje
Perkuna gromkim krzykiem,
z Poświstem Świst zawieje
w poszyciu borów dzikiem.

W korony drzew strojone
jak harfy dawne, smętne
niech przejdą tchnienia one
potężne, przenamiętne —

Niech zdejmą im z konarów
żałosnych dum przegięcia,
i zaklną w gęźbę czarów,
w muzykę wniebowzięcia!

— Hej! życie miłowane!
Hej! życie młode! mocne!
W promienie patrz jutrznianie! — —
— Pierzchają mroki nocne.

Powiał z za świata
wiew, który zmiata
oporne, duchem zgnuśniałe.
Jak boże struny
grają pioruny
zwycięstwo życia i chwałę.

Już drży wiekowa
świata budowa,
zamkniętym duchom w niej ciasno.
Bóg nowym siłom
uczyni wyłom
kolumną ducha przejasną.

Kto wpoprzek stanie,
skończy władanie
w krzyku wściekłości bezsilnym;
naród ocknięty
swoją sztandar święty
zatknie na szańcu mogilnym.

Przez krew, przez ogień
moc wrażą pognie,
przydusi gniewu kolanem —
jak tarczę krwawą
weźmie swe prawo,
by na swej ziemi był panem.

Z odmetów burzy
w blask się wynurzy
ludzkości moc niepożyta;
pod niebem cudów,
już wiosna ludów
przewonnym kwiatem zakwita.

WESELNA PIEŚŃ.

Uczcie się bracia wesela —
leż przecie braknie już oczom;
niech już się serce ośmiela
nucić pieśń życia ochoczą.

Wbrew temu, co nęka i boli,
wbrew wszystkim losu piorunom
niech się rozdzwonić pozwoli
tym dźwięcznym, słonecznym strunom.

Tym strunom, co w każdej duszy
na dnie ukryte, drzemiące
czekają, rychło je ruszy
żywota tchnienie gorące.

Niech dźwięczy, niech się rozśpiewa,
ta dawna, dziecięca muzyka,
co ziemię i kwiaty i drzewa
miłosnym rytmem przenika —

i gra we wszystkim, co żyje
hymn prosty bez nazwy, bez końca
i baśni czarem się wije
przez wszystkie gwiazdy i słońca.

nie słyszy jej człowiek stroskany
choć dźwięczy w jego pobliżu

i głosi hymn swój wiośniany
piersią dzwonnieszą od śpiżu —

i wiecznie pełna tej siły,
co płynie z serca wszechświata
przez życie i przez mogiły
w weselne rytmy się splata.

Niech i w nas wreszcie się zbudzi
— wbrew temu, co nęka i męczy —
i wieczne braterstwo ludzi
miłością swoją wydzwięczy.

Zaranną pieśń zwiastuję wam —
słoneczny bóg się jawi.
W niebo z jutrzennych wyszedł bram
i światu błogosławi.

Heros zwycięzca, pieśniarz on,
co umiłował życie — —
Szerokodźwięczny chwały dzwon
rozebrzmiał się w błękicie.

— Jak niegdyś z greckich wstawał wód
z chryzejskich cytr peanem,
ten sam Promienny cudów cud
nad polskim płynie łanem.

Płomienne duchy grają mu —
śpiewajcie pieśń do wtóru,
melodję serc z własnego tchu —
pieśń godną jego chóru!

Z legendy świętej złotych kart
moc nowa się nie zrodzi —
kto sercem żyw, ten życia wart —
powstańcie duchem młodzi!

Na harfach dusz niech zagra bóg,
Apollo — bóg słoneczny!
Nie zgasi noc, nie stłumi wróg
żywota pieśni wiecznej.

O, chwile olśnień złotych! o radości!
o chwało życia! nieprzeparta mocy,
w duszach i w złotych gwiazdach królująca!
wiedz mię swoimi drogami najprościej
ku mej ojczyzny przemienionym progom,
gdzie złota prawda na wieki zagości
w sercach nadzieją czasów wypieszczona,
— piękna, jak Wenus z morskich pian zrodzona.

NOWY ŚWIAT..

Nowy świat się rodzi —
Cóż w nim poczniemy?
Mgłą się oczy zmęczone,
język nasz niemy.

Obmyjmy powieki
w krynicy lazurowej;
od kwiatów, od ptaków
uczmy się mowy.

Co żywo stanąć trzeba
do tańca, do koła!
Spleść razem ręce,
uwieńczyć czoła!

Nowy świat się rodzi —
moc wypromienienia.
Jak umarłe księżycy
wirują wspomnienia.

Niech już raz się przesili
dzień naszej żałoby!
Niech nas nareszcie słońce
przygarnie — lub groby!

NA PRZEŁOMIE.

Czasy owocne!
Wybrańcy młodzi!
wasze przemocne
królestwo wschodzi.
W dziejowym szumie
po latach marzeń
któż pojąć umie
moc przeobrażeń?
Któż tak się wsłucha
w przyszłość, by orzec,
dokąd nas ducha
wiedzie porozec?
Naprzód! przez zgłiszczal
w ogniowej kuźni
świat się oczyszcza.
Kto się opóźni,
kto nie dotrzyma
kroku olbrzyma,
ten w tył cofnięty
stanie zdaleka
losem wyklety —
nędzarz — kaleka —
bo po dniach mściwych
na moc i trwanie
tylko dla żywych
błyśnie świtanie.

NA GRUZACH.

Przez gruzy — zda się — jeszcze
wsluchane w armat chór
wstąpiłem między zręby
gdzie ostre szczyrzy zęby
domostwa mego mur.

Tak dziwnie niespodzianie
przemienił się mój świat —
i dziwię się sam sobie,
że stojąc na tym grobie
nie płacę drogich strat.

Przyjaciele pomarli,
lub poszli sobie precz
— Nic to — — nic się nie stało.
— Umiera, ginie ciało —
— zwyczajnie, ludzka rzecz!

Zaćmił się w armat dymie
szlachetnych zasad błysk,
toczonych jak klejnoty
w szlifierni taniej cnoty
na wspólny ludziom zysk.

Łup wietrzy ludzka bestja,
opasły karmi brzuch;

człowiecza dawna mowa
napróżno trwoni słowa,
na które człowiek zgłuchł.

Zostałem tu sam jeden,
więc sobie śpiewam sam
— choć ludzie mię uczyli,
że w takiej życia chwili
żałobnie płakać mam.

Naprzekór żałobnikom,
posepnej ćmie na złość
przystroję czoło w kwiaty —
weselem jam bogaty
— smuciłem się już dość.

Jak nowonarodzony,
jak golec stoję tu —
Lecz czegoż mi potrzeba,
gdy oczom nie brak nieba,
gdy piersiom nie brak tchu!

— Gdy nogom ziemi nie brak,
by na niej twardo stać —
a czasem bieć — a czasem
odtrącić ją obcasem
w taneczny skok — — psia mać! —

Do czarta, z tem co słabe,
co zdawna toczy pleśń.

Jest jeszcze gdzieś gontyna
Wenery, Apollina,
skąd twórcza wstanie pieśń.

Jest jeszcze gdzieś gospoda
— w gospodzie złoty płyn
— gdzieś w śmiertelnej miedzy
w piwnicach błogiej wiedzy
przedziwne wino win.

I ląd jest nieodkryty,
gdzie bujny rośnie plon —
a klnę się na mą duszę,
że drogę znaleźć muszę
przez życie czy przez zgon.

ZWIERCIADŁO

ZWIERCIADŁO.

Królestwo moje samotne —
samotny duch mój przez wieki —
Przede mną złuda dziewicza
na klęczkach —
zwierciadło ogromne w jej rękach
zwierciadło bytów —
patrzę i śnię.

— Lata przepływają i wieki
— Niewolnicy
składają skarby morza i ziemi
do moich królewskich stóp — —
— Potęgo moja! — —

Tryskają w niebo wieże stubramnych miast —
Psalmody jasne
w różycach okien gotyckich,
rozświetlają mroki kościołów — —
Na tarasach zamkowych — taniec —
rytmów zwyciężkich obłąkane koło —
dziewiczych piersi skarga i żal — —
Tęsknoto! — —

Lata przepływają i wieki — —
W małym ogródku róże —
Dzieckiem jestem i patrzę —

przez malowane sztachety
patrzę w bezbrzeżny świat.
— Tęczowe wiry chaosu —
różany wiew nad głową —
dźwięki bez słów —
Wołają mię — —
Ja jeden — — —

Tęczują koła kolorów —
pieśń śpiewa w sercu —
myśl rośnie — —
Życiel — — —

Uśmiechnęła się złuda dziewicza —
w zwierciadle majaczą kształty —
Wonne szaleństwo rozkoszy —
otchłanie duszy w oczach —
ogrody szczęścia kwitnące —
oceaniczny wiew — — —
Miłości! — — —

Mroczy się złudy zwierciadło —
Miljon w niem godzin upiorów
snuje się długa procesja — —
Kiedyż twarz błysnie kochana!?
Kiedyż rytm zagra znajomy? —
zwycięzki życia zew?! — —

Mroczy się złudy zwierciadło — —
Zjawy szydercze we mgłach

wiążą się, płaczą, znikają — —
— A w chmurach grom już zawisnął —
waży się, czeka —
uderzy — —
Wtedy się w nicość rozprysnie
tarcza zwierciadła — —
a przed nią twarzą wyrośnie
groźna, potężna, odwieczna
twarz niezbadana — —

Czasem jak wicher leci mi nad głową
pieśń ukochana — moja — tajemnicza —
żadną żyjącą nie ujęta mową —
jak puszcza — dzika — jak puszcza — dziewicza.

W tej pieśni wszystko jest, co ukochałem,
zakłętę w jednej melodji odwiecznej,
co grała w duszy piękności chorałem,
nim ją przytłumił świat mych pojęć sprzeczny.

Czasem się zbliża — słyszę ją szumiącą,
jak przyływ morza dziki, tryumfalny;
tysiąc fal rozkosz śpiewa fal tysiącom,
z wichrem szaleństwa bijąc o brzeg skalny.

Przy brzegu czekam, by w bezkres odpłynąć
w rozgwarach fali na wichrów przygody;
na łodzi marzeń pomknąć wdal i zginąć
w harmonji wiecznej życia i swobody.

Lecz pieśń odpływa od brzegu, gdzie smętny
zmacone dźwięki łowię uchem chciwem
i wiem, że mojej melodji namiętnej
już nie odnajdę w żadnym słowie żywym.

NOCNA ŻEGLUGA.

Tyle świata za nami —
już zostaliśmy sami
— sto wysp minąwszy w biegu —
oblakani w przestworzu
na szalonem tem morzu,
co się w bezmiar kryształu.
— Gdzież ląd zbawczego brzegu?
— Płynmy dalej! wciąż dalej!

Może z naszych niewielu
gdzieś dotarło do celu
— nam zgon gra fala dzwoniąc —
wszystkie światła noc gasi,
tylko księżyc się łąsi
na roztoczy z opali.
Ten blask nieścigły goniąc
płynmy dalej! wciąż dalej!

Przed odjazdem — ach! — któżby
nie uwierzył w te wróżby,
co serc karmiły płomień?
Gdzież te czary? gdzież ona
rusałczana, wyśniona
mórz królowa tej fali?
Hej, w mrok! w mrok oszołomień!
Płynmy dalej! wciąż dalej!

Śmierć u steru tej jazdy
bez nadziei, bez gwiazdy
— lecz duch ocknięty w mocy....
Więc dumni, bezcieleśni,
z hasłem: później czy wcześniej,
już taneczni, już śmiali
przez wir śmiertelnej nocy
plyńmy dalej! wciąż dalej!

GWIAZDY LOSU.

Wdal nocy dąży gromada —
a gwiazdy z góry się patrzą —
a każdy śledzi i bada
drogę dla siebie najgładszą—

a złość zaciska pięście —
a chytróść pełza przy nodze —
Gwiazdy mrugają: nieszczęście
na gładkiej spotka cię drodze.

Na zieleni bujnej leżę
pod przydrożnym wałem.
Świerszczyk skacze, motyl fruwa —
— I ja tak fruwałem.

Szedłem w życie na przygodę —
śliczny to był spacer
i gra w miłość była śliczną
choć — co gracz, to pacer.

Ja przynajmniej to straconej
dziś zawdzięczam stawce,
że tak sobie leżę cichy
na zielonej trawce —

i już nawet bez żalości
sam z sobą gaworzę — —
Świerszczyk skacze, motyl fruwa —
Mój Boże!... mój Boże!...

DO DZIECI.

Przepiękna jest nauka;
— nikt temu nie zaprzeczy —
będziecie się uczyli,
poznacie tyle rzeczy.

Gdzie jaki król panował,
gdzie jakie są zwierzęta —
pouczy was książeczka
z czytania aż pomięta —

z jakich to cząstek małych
każda się bryła składa
i jakich praw porządek
na całej ziemi włada.

Lecz tego wam najmędrsza
książka nie wytłumaczy,
dlaczego tak być musi,
tak właśnie, nie inaczej.

Dlaczego kwiatek kwitnie,
dlaczego słońce świeci,
skąd wiosna jest na ziemi,
i w waszych sercach, dzieci!?

Wybadać to, wysledzić
nikomu się nie uda;

więc pamiętajcie o tem
że wszystko to są cuda.

Ze, choć nauka ściśle
bieg każdej z gwiazd obliczy,
świat będzie niepojęty
i zawsze tajemniczy.

I zawsze coś was nęcić
w szemrzącej będzie wodzie
i zawsze będzie smutno
pod wieczór o zachodzie.

I nigdy tego dziwu
nie pojmie nikt rozumem,
jak rządzi pszczoł królowa
brzęczących pszczołek tłumem.

Czem bocian się kieruje,
że drogi swej nie zmyli,
skąd wie najmniejszy owad,
co robić każdej chwili.

Więc patrzcie na to wszystko
z podziwem, a miłośnię;
kochajcie waszą ziemię,
gdzie tyle cudów rośnie.

Kochajcie waszą ziemię,
nie szcędźcie jej swych trudów,
bo cud miłości waszej
to najpiękniejszy z cudów.

PRZED RZEZBĄ DUNIKOWSKIEGO.

Gipsowa biała głowa
i wielka płaska dłoń.
Chyli się nad tą dłonią
zmęczona życiem skroń.

Zmęczone patrzą oczy
z pod opuszczonych powiek
na dłoń, gdzie nawznak leży
malutki z gipsu człowiek.

I mówi twarz znękana
przez jakieś dziwne smutki:
Cóż mi zostało z życia?
Człowieczek ten malutki.

Człowieczek ten mizerny,
poczęty razem ze mną;
i razem się staczamy
z dniem każdym w otchłań ciemną.

Bo jedno my jesteśmy
i jeden nasz początek
i jeden z nas się snuje
tajemny bytu watek.

Embrjonie mój malutki,
powierzon mojej pieczy!

za ciężki — widać — byłeś
dla dłoni mej człowieczej.

Snać — w twem malutkiem ciele
tkwił cały ciężar bytu
i moja dłoń zastygła
w pół drogi do błękitu.

Wsparła się na niej głowa,
spojrzały oczy senne
na kształtów tych zarisy
niezdarne a tak cenne —

na znak ten tajemniczy,
na ten hieroglif niemy,
w którym się prężą w wieczność
wszechistnień wszechproblemy —

na moje — nic — i — wszystko —
poczęte razem ze mną,
z którym się wraz pograżam
z dniem każdym w otchłań ciemną.

CZARY.

O, pani snu co ucieka,
niezgasłem pięknem urodna
znowu mię wabisz zdaleka
jak echa bogini zwodna.

Kryjesz się w mroku, wyblyskasz;
z cudownych gąszczów znieńcka;
śmiech srebrny w oczy mi ciskasz
jak płóchej igraszki cacka.

I tu i tam — kręgiem — wszędzie
twoje mi grają zwierciadła;
istność twą w słodkim obłędzie
chwytam — już mam — już przypadła.

Na ustach czuję cię chciwych,
w krwi tętnie płoną twe żary,
w pierś chłonę wonność chwil żywych,
jak zapach z rozbitej czary.

W obłędem wodzisz mię kole,
Jak blask, co w chmurze się łyśka
ciemną rozświecasz mi dolę —
daleka zawsze... i bliska.

ROZDZIELENI.

Staną — zaczepią się spojrzeniem,
tajemnem drżeniem będą drżeć
i rzekną słowem lub milczeniem
— jedno drugiemu: chcę cię mieć!

Ty? — Ja? — Nieprawda. — Tylko ja! — —
Czerwono-żółty błysk źrenicy —
Dwie dusze, myśli — ciała dwa —
i piorun jednej tajemnicy.

Coś ich rozdziela, ciągnie precz —
próżno się ciało z ciałem splata —
Między ustami zimny miecz,
Na całą długość świata!

ZNUŻENIE.

Przykrzy mi się bez tego,
i bez owego,
sam nie wiem czego,
— tak.

Jedna była Maryjka,
druga była lelijka,
trzecia nie warta kijka —
— tak.

TERAZ TO MY...

Teraz to my —
teraz to my
zweździimy one cudne komnaty...
Wyście tam już byli
w niezapomnianej, bezpowrotnej chwili;
przecież tam każdy z was
wyczerpał, przeżył swój czas
i wspomnieniami jest jak król bogaty.
— A teraz — my —
zweździimy one cudne komnaty —
a do najwspanialszej, zamkniętej na spusty
powiodą nas nasze sny
zwabione królowy pasowemi usty
— — — — —
Teraz — zkolei — my — —

Nie, nie! — nie można dwa razy.
Zblakłyby na ścianach obrazy,
umilkłyby perłowe fontanny,
co tam szemrzą w gęźbie bezustannej
i magiczne zwierciadła przejęłyby skazy
waszych serc —
nie, nie wchodźcie!
nie można dwa razy!

Nie mówcie nic!
Czytamy wam z lic

przestroę,
że zagubimy drogę,
że w komnacie ostatniej
prócz popiołów szczypty
nie znaleziono nic
— u wejścia do grobowej krypty.
To tylko wam,
to wam się nie powiodło —
lecz nas prowadzi niezawodne godło
gwiazd złota droga na niebios bławaty
haftem tęsknoty rzucona jak kwiaty.
— A wy — —
a każdy z was
wyczerpał, przeżył swój czas — —
Teraz — zkolei — my — —

Z ODDALI.

Tu, gdzie mię wzrokiem widzicie,
nie jestem wśród was — nie żyję —
— Daleko stąd moje życie
słoneczną rzeką się wije.

Strzępy mej doli targacie,
co jeszcze tutaj się wloką —
— Swobodny w innej już szacie
nad wami mieszkam wysoko.

Radością swoją i łzami
chcecie się ze mną podzielić —
— Już odszedł ten, który z wami
mógł smucić się albo weselić.

RADOŚĆ SAMOTNA

TONĄCA WYSPA.

Wśród lazurowych przestrzeni
samotna wyspa jaśnieje;
rozkwitłe łono zieleni
kołysze dni jej nadzieję.

Od wieka wznosi pod stropy
palm smukłopiennych powały,
a koralowe swe stopy
w błękitne nurza kryształę.

Magnolji krasę zaplata
w kwietnianych tęcz uroczyska,
gdy druga tęcza skrzydlata
w śpiewnych się płasach rozpryska.

Tak z wieku na wiek samotna
wyspa spogląda bez troski,
jak morza fala powrotna
na tron jej wspina się boski.

Zdobywczę rwą się topiele
wciąż dalej w ślizgie mielizny;
na wyspy różowem ciele
mnożą się szczyrby i blizny.

Aż runął brzeg jej zielony
fal mściwych klami podarty,

jak żołnierz gromem rażony
z strażniczej zepchnięty warty.

Spłoszone ptactwo od brzegu
zrywa się — w gąszczu zapada;
w bryzgach, w zwycięskich fal biegu
śmieje się dziko zagłada.

Zdobywczych walk sprzymierzeniec —
dmie kołem wicher zawrotny,
a sinych obłoków wieniec
urąga wyspie samotnej:

— „Hej zbytnico, hej, krasianko!
by znikomą załsnąć pianką
precz odbiegłaś w świat,
tu daleko od twej matki
tylko chmury twe sąsiadki,
tylko grom — twój brat.

Wyzywając morskie bogi
kładniesz falom wpoprzek drogi
twojej pychy próg;
lecz nim minie lat niewiele,
rychło przebrzmi po twem ciele
oceanów huk.

U starganych twych wybrzeży
jeszcze głazów rząd się jeży,
lecz próżny ich trud.

Zwiędnie, zginie twoja krasa,
nad nią z wichrem toń pohasa
płasem modrych wód.

Chór zwycięskich Oceanid
dnem rozmicie skał twych granit,
pnie twe tłoczy w grób,
swym pałacom dla podwalin
zgarnie przepych twych koralin
na wieczysty lup“.

-- Patrząc z strażnicy wysokiej
stuwieczne zadrżały drzewa;
śpicwnym ich chórem w obłoki
tonąca wyspa odśpiewa:

— „Serce się moje nie złęknie,
— żywota siłą jam zbrojna.
W wieczystem żyjąca pięknie,
w pięknie umieram spokojna.

Zanim znaczone mi w losach
groza swe dzieło rozpocznie,
o morze! — wzrok mój w niebiosach
przyszłości czyta wyrocznie.

Tu, kędy wkrótce się stoczy
w otchłań pierś moja zapadła,
tysiące wieków w przezroczy
przejrzy się twego zwierciadła —

lecz błysnie dzień, co w twej hydrze
zajadłej kark dziki przygnie,
odwieczną zdobycz ci wydrze
i nowe lądy wydzwignie.

Wypłynę wówczas z topieli
niebu i słońcu wrócona;
kwiat, co się blaskiem weseli
znów błysnie u mego łona.

Skarby twojego włodarstwa,
drzew mych ginących jestestwa,
— żywotnej karmy to warstwa
dla przyszłych kształtów królestwa.

Niech słyży obłok i woda
wyzwanie wyspy co ginie:
Powrócę piękna i młoda,
w odrodzeń świętej godzinie.

PIEŚŃ ŻEGLARZA.

Raz jeszcze chciałbym popłynąć
— o towarzysze moi!
Wiele mam smutków na duszy —
nic tak, jak morze nie koi;

sił nowych także mam wiele
junaczych, zrodzonych właśnie
w chwili gdy już się zdawało,
że wszystko we mnie zagaśnie.

Popłynąć chciałbym raz jeszcze
na wichry, trawy, przygody,
na burz potężnych spotkanie,
na błękit przeczystej wody.

W zacisznej, gnuśnej przystani
dość dłużom z wami zabawił;
wiatr dziś przyleciał z za morza,
cudne powieści mi prawił;

na skrzydłach, które ocierał
o tafłę wód zwierciadlaną
przyniósł mi baśń najcudniejszą
słońcu i gwiazdom śpiewaną —

przyniósł mi rzeźkość swobody
i pozdrowienie żywiołów —

Hej, ze mną w drogę, żeglarzel
— bogaty czeka was połów.

Przez cudne wyspy koralu
i z głębin perły tęczowe
i niepojęte zjawiska
piękności wieczyście nowe.

Jakże tajemnie pod wieczór,
gdy blasków kładzie się tęcza
z głębin miast zatopionych
daleki dzwon się rozdźwięczał

Naprzód! choć w skalne bezdroża
nęci śpiew pani rusalnej —
żaden cię dom nie ugości
jako jej pałac kryształny.

Życia wesele i żalność
z niejednych piliście dzbanów —
dziś niech was szalem upije
potężny dech oceanów.

Znam wasze serca junacze,
których się trwoga nie ima,
gdy na bezkreśnych przestworzach
fala na fali się wzdyma.

Hej, rozkosz to nad rozkosze
— przypomnieć chcę ją i wskrzesić —

na fali w niebo lecącej
łódź swego życia zawiesić.

I świat ten co się zasklepia
więziennym naokół murem
rozwiązać w płasów harmonję,
roztopić nieba lazurem.

Hej, rozkosz to nad rozkosze
lotny swój namiot przesuwając
po wydmach płynnej pustyni
i mknąć, i tańczyć, i fruwać!

O, fale, fale szalone,
ludzkiemu mrowiu złowieszczę,
znam wasz tajemny rozhówór,
dotąd nim we snach się pieścicie.

Słyszę pieśń waszej tęsknoty,
nieukojoną a dziką
i dusza moja podąża
dotąd za ową muzyką.

Upojeń boskich odzewem
już gra, już tętni moc żywa.
Dalej, w bezkresy! żeglarze!
na wieczność okręt odpływa.

ZDOBYWAĆ MUSISZ SAM...

Zdobywać musisz sam
swój własny świat w wszechbycie,
bo wszystko — — sen i kłam,
a prawdą ducha życie.

Ku własnym celom idź!
niezlomnej wiary siłą.
Twym prawem rósć i żyć,
by mocą serce biło — —

by duch potężniał czuciem
i w coraz wyższe kręgi
szedł twórczej myśli snuciem
po złoty wid potęgi.

My, cośmy w górę wybiegli,
co już igramy na szczytach,
na tej drabinie żywotów
już zawieszeni w błękitach,
w lekkim powietrzu wyżyny
zatańczmy płas wyzwoleńczy;
skronie nam eter niebieski
promienną jaśnią uwieńczy.
Przekornej siły ciężenia
zrywajmy pęta ostatnie:
już jasne duchy błękitu
dłonie podają nam bratnie.
Szumiące bożym nektarem
krążą weselne puhary:
a nowe zmysły — jak kwiaty —
prężą się czuciem w beżmiary.
Uchem już dźwięk ów łowimy
— tchnieniem zaświatów przywiany —
najwyższej piękna muzyki,
którą gra Czar nienazwany.
Niech nas kołysze, niech koi
serc naszych skazy i blizny,
aż wreszcie duch się wpromieni
w przestwór świetlanej ojczyzny.

Cudowny dzień błogosławie —
obłoki płyną w niebiosach,
na łące kolory pawie
w porannych tęczą się rosach.

Świat się narodził dziś nowy
— w poszeptach, drgnieniach, kolorach —
człowiecze serce gotowy
w swoich roztopić przestworach.

Co było wczora już nie wiem,
wróżb się o jutro nie pytam,
pałę się słońca zarzewiem,
kwiatów rozkoszą zakwitam.

Kolory, dźwięki, blask dzienny,
wszystko, co widzę i słyszę —
to skarb mej duszy bezcenny,
to jej muzyki klawisze.

Cześć kwiatom, łąkom, ruczajom!
w blaskach wiośnianych oplotów
w rytm mego serca niech grają
pieśń zjednoczenia żywotów.

W RYTM POŁUDNIOWEJ GODZINY.

Południe gra —
pieśń mych młodzięńczych dni
Złota pogoda śni
sen szczęścia nieskończony,
w tysiączne rozdrzany tony,
w ziół słodką spowity woń,
głęboki jak wód głębiny,
jak niebios błękitna toń —
sen południowej godziny.

Południe gra — —
Melodja młodzięńczych snów
bez końca, bez początku — —
Wszystko powraca znów
do pierwotnego wątku
do tej pradawnej baśni,
w której się rodził świat
w oplotach jaśni
złotej
i szal młodzięńczych lat
i pieśń tęsknoty.

Południe gra — —
Pieśń krwi, pieśń żywa
kaskadą iskier spływa — —
Faluje błękit i złoto —

w mgle oszołomień
grający płomień
pieszczotą tchnień kołysany —
Odwieczny śpiew,
ku życiu zew
tęsknotą serc śpiewany.

O, śnić!
o, żyć!
zdrój szczęścia pić
z świetlanych źródeł słońca!
W pierś rozkosz brać!
Zapomnieć!
Trwać!
Przez ból, przez trud
w żywota cud
zogromnieć!
— W żywota cud bez końca!

PRZEDWIOŚNIE.

Rychło — rychło się spodziewać —
będą nowe tchnienia wionąć
będą wszystkie ptaki śpiewać
będą wszystkie serca płonąć —
Będą wszystkie tętna ziemi
bić falami wód żywymi
grać radośnie, dzwonić, wołać
po ostatniej skiby połać,
po najdalszych gór przeguby,
po najwyższych lasów czuby
— wszystko będzie tętnić — śpiewać —
Rychło — rychło się spodziewać.

Polecę w przestrzeń, polecę,
w milion się cząstek rozprysnę;
pyłkiem w promieniu zaświecę,
tęczą na chmurze zawisnę.

Lecz na głos fletni pastuszej
— gdzie rodna przyzwie mię gleba,
wrócę, zamknąwszy w swej duszy
chmury i tęcze i nieba.

Cuda jesieni —
brzozy złociste —
buki w czerwieni —
oddale mgliste.

Słońce przygrzewa
jak niegdyś wiosną.
Dusza ma śpiewa —
nadzieje rosna —

Czar znów się iści
jak cudna krasa,
co dziś wśród liści
mrących dogasa —

jak łąk kobierce,
jak blask na niebie —
zapomnij sercel
— żyć chcę przed siebie.

HYMN DO PIĘKNOŚCI.

Przez nocy ciemnie,
przez dnia złociste rozkwity,
przez życie i przez zgony
niech będzie błogosławiony
czar niespożyty
twojej krasy.
Szukam cię, pragnę daremnie —
umiłowana przeze mnie
po wszystkie czasy!

Jak powietrzne oploty
motyli,
okrążyły cię moje tęsknoty
tej cudownej
uludnej
chwili,
w której kochane oczy,
niby gwiazdy na niebie
promieniują z siebie
z przezroczy
cud tajemnicy uroczej.

I widziałem twe znaki
w przebudzeniu wiosnianem natury,
gdy drzew gałązki pęcznieją
soków krążących nadzieją —

gdy ptaki
wśród miłosnych szczebiotań i namów
polotnemi szukają się pióry —
gdy z powietrza czarownych balsamów
tchnienia twego woń żywą,
falującą nad czołem,
w pierś chłonałem
szczęśliwą.

I głos twój boski
nad wszystkie świata tony
pięknością tryumfujący
słyszałem, gdy ech ostatkiem
w znikomy dźwięk wcielony
rozbrzmiewał w pieśni tętniącej
rytmicznej głoski
spadkiem.

O, nienazwana!
U bytów jasnego zdroja
skąd życie moc swą bierze
króluje piękność twoja —
skąpana
w narkotycznym eterze,
którego fala w przelocie
potrąci serce człowiecze,
w tęczowe omota jaśnie
i pozostawi tęsknocie
i wdał uciecze
i zgaśnie.

I czasem jeszcze, gdy oczy
do kresu olśnień przywiódłszy —
bytu świadomość i zmysły
taneczny czar zamroczy —
zanim się złuda przesili
w jakimś pół-błysku, pół-chwili
od drgnienia powieki krótszej
zda się, że dusza się wita,
zda się, że pęta jej prysły,
że już twa piękność wykwita
na zawsze oczom widoma.
A naraz — — czar już nie władnie
i w niewidzialność znów wraca
blask, co twą zjawę wyzłaca
i znowu oczom cię kradnie
chwila znikoma.

A przecie ona
wieść mojej duszy niesiona
złotym promieniem zachwyty
zawsze mi będzie przytomna —
pieśnią natury rozgłośna,
w mórz cudnym lśniąca kryształe
i na bezmiarach błękitu
pisana runami złotemi —
jak zakon twój wiekopomna —
wieść — tajemnicza, miłosna,
którą mi kiedyś powtórzą
twe usta stopione z mojemi

całunkiem nieskończoności —
gdy się dni moje wysłużą
twojej boskiej chwale,
Piękności!

O, jakżem dawno nie słyszał
szumu twych skrzydeł, o, boska
burzo żywota!

O, jakżem dawno nie chodził
w koronie twoich błyskawic
— święty i dumny
— otchłań i chaos,
w którym twój piorun rozniecał
skry życiorodnej potęgi.

Przybądźcie tchnienia tajemne!
od gwiazd przywiońcie dalekich,
od tych niebieskich wiatraków
co się w przestrzeniach mgławicznych
kręcą śmigami złotemi,
w chaosie światów
płomienny
był tworząc z żarów
swej mocy.

O, złotowłosa zwiastunko
jutrzni narodzin,
burzo żywota!
Nad mą kolebką szumiały
potężne skrzydła twych lotów

i gromów twoich chorały
wiodły mię dzikim manowcem
przez szumnych drzew uroczyska
przez święty gaj mej młodości.

Posepne, dzikie wykroty —
zwalone za mną drzewa —
Twoje to dzieło
złowróźbne,
— błogosławione
o, władna pani żywotów!

Z tobą zmagala się długo
myśl moja dumą orężna
i o twe berło spowite
w piorun władnący
długo walczyłem zaciekle,
by własnej doli panować
życia szaleniec.

Przeszłaś z uśmiechem błyskawic,
z chorałem gromów przebrzmiałaś.
— Sam jestem.
— Samotne serce moje.
— Samotna wiedza mej duszy
— wiedza ostatnia.

Dziś nie chcę walczyć już z tobą
o, władna,

o berło mocy —
albowiem w runach twych ogni
na popieliskach żywota
czytałem wieść — tajemnicę
strasliwą —
błogosławioną,
która mi każe cię kochać
na wieki.

Znam cię, o, boska!
przytomna
każdemu dziełu tworzenia —
wiem, że niczego nie pragniesz,
czegobym sam nie pożałował
tęsknotą ducha wieczystą
w bezkres lecącą ku tobie,
— by w twarz ci spojrzeć
natchnioną,
której nikt z ludzi nie zdolen
śmiertelną widzieć źrenicą
— o boska!
— piękna!
— strasliwa!

GRAJ MI PRZEDZIWIWA MUZYKO!...

Graj mi przedziwna muzyko!
Już wszystko wokół umarło;
chwast w dzikie wrasta się głązy,
gdzie tak niedawno przede mną
płonęły życia obrazy —
dziś życie samo je starło.

Nie mogłem duszy wyściewać
miłością ani żywotem — —
Jakiż to napój, co jeszcze
zdolenby serce rozgrzewać
strasznym uśpione blekotem?

Graj mi przedziwna muzyko!
słucham cię duszą wsłuchany.
Już mię od ciebie nie dzieli
to czem się człowiek weseli
lub smuci w duszy stroskanej.

Koło mnie chodzą upiory,
przez ludzkie patrzą się ciała —
Ostatnie prysły zapory,
w głąb straszną dusza spojrzała.
Świat zachybotał mi w oczach
w strasliwej gonitwie godzin —
Graj mi, przedziwna muzyko,
pieśń skonów mych i narodzin!

Graj mi przedziwna muzyko!
już w rytmach boskiego grania
nowa się ziemia wylania
i nowe gwiazdy przede mną.
W krąg żywy cud mię otacza
a głos twej pieśni głęboki
płynię i wiedzie me kroki — —
na oną drogę kto wstąpił
już z niej na wieki nie zbacza.

Samotny chodzę wśród ludzi —
Lat mknących tłumna gromada
jak sypkich liści ulcwa
w ciemną się otchłań zapada —
twojeż to tchnienie je zwiewa
przedziwna pieśni, co z łona
tajni żywota zrodzona
dziś moją duszę w swe kręgi
boską zniewalasz przemocą
i wiedziesz w światy dalekie
gdzie nowe gwiazdy się złocą?...

Graj mi przedziwna muzyko,
pieśń mego z tobą przymierza!
Już wszystko wokół umarło — —
ku tobie dusza ma zmierza.

NIEPRZYJACIEL MÓJ.

Nieprzyjacielu mój,
wyzwałeś mię na bój
już od kołyski.
I jesteś koło mnie wciąż,
nienawistny a bliski,
nieprzyjacielu mój!

Czuję cię, choć nie widzę,
— i w dzień i nocną dobą —
powietrze przesycasz sobą
i pełniesz za mną jak wąż.
Przeklinam cię, nienawidzę —
nieprzyjacielu mój!

Jak robak drzewo dorodne
z uporem wierci do rdzenia.
tak twoje żuchwy głodne
gryzą miąższ mego istnienia.
I wszędzie czuję twój jad,
wsącza się w myśl i czyn,
zanim dojrzeją w kwiat —
i wszędzie jest twoja zdrada —
i na barki mi spada
brzemieniem odwiecznych win.

Ty starszy jesteś ode mnie,
boś w gwiazdach pisał mój los

I zaśmiałeś się w głos,
gdy życia najpierwszy zdrój
w mych żyłach zatętnił radośnie.

— Potem jak złodziej tajemnie
wniknąłeś do serca wrótni,
mózg przepoiłeś swoimi opary,
z których się snują bezgłośnie
wojsk twoich zawistne mary.
— I odtąd toczy się bój
coraz zawzięciej, okrutniej —
nieprzyjacielu mój!

Zwycięzę —
u progu ostatniej mety
połączę
czereda twych larw
i zamajaczą srebrne nurty Lety.
Wtedy pod łuną konających barw
znużoną chyląc głowę,
spojrzę ci w twarz
i poznam — jak ty mię znasz —
i do piersi przytulę —
bo za me klęski i bóle,
za jedno tętniące w nas życie,
za ten odwieczny bój
oddawna kocham cię skrycie —
nieprzyjacielu mój!

RADOŚĆ SAMOTNA.

Zapaliłem wszystkie lampy —
niech mi będzie jasno! —
jakby wkrótce tu przyjść mieli
goście mili i weseli,
co jarzącej się radości
z radością przyklasną.

Żaden głos tu nie dolata,
tylko cisza dzwoni.
W uroczystym światła stroju
błyszczą każdy sprzęt pokoju,
zda się — słucha, zda się — czeka
czy nie idą — oni.

Czy nie idą z szumnym gwarem
braterską drużyną,
czy nie wejdą, czy nie staną
z jakąś wielką, niespodzianą
— ku spełnieniu snów najskrytszych
wesołą nowiną.

Lecz za progiem drzwi zawartych
żaden schód nie skrzypi;
tylko cisza uporczywa
technieniem chwil tętniących żywa
w elektrycznych lamp napięciu
białym światłem kipi.

Nic! Już dobrze! — już się stało
skrytym chęciom zadość.
Nikt nie przyjdzie, lecz jest ze mną
objawiona w noc tajemną
moja wielka i ostatnia
niewysłowna radość.

W cichem tchnieniu jej oddechu
wionie balsam boski.
W mej samotni — wiem, że stoi
w niewidzialnej ze mną zbroi,
a promienny blask jej oczu
precz odgania troski.

Więc niech wszystkie lampy płoną!
niech mi będzie jasno!
jakby wkrótce tu przyjść mieli
goście mili i weseli,
co jarzącej się radości
z radością przyklasną.

SŁÓW MI TRZEBA...

Z harmonji, co się waży jeszcze
nad strunami. aby skończyć już;
z tchnienia wiatru, co w trzcinach szeleszcze,
z oddechu ukojonych mórz —
z tła zadumy bladych półumiechów
słów mi trzeba, niewymownych słów —
Z wyżyn cnoty i z otchłani grzechów
słów mi trzeba niepojętych, zawrotnych,
wyświetlonych na tęczy przegubach,
skrzydłem wazki wibrujących, zalotnych —
słów stalonych na moc w ognia próbach —
I słów jeszcze... i słów jeszcze dziwnych,
blask krzeszących na krańcach przeciwnych,
na biegunach myśli, czucia, ducha
słów mi trzeba, których duch mój słucha.

SPIS RZECZY.

	Str.
EDWARD LESZCZYŃSKI	5
DO MEJ MŁODOŚCI	
Do mej młodości	27
Powrotne fale	30
Pożegnanie	32
Drzewa ogrodu	34
Gdy młodość tętni	36
Pieśń przeszłości	37
W nocy	38
Chór przeszłości	39
Na załomie	41
Jesienią	46
Elegja	47
ROMANCE	
Wyspa szczęśliwa	51
Błądny pielgrzym	54
Anna z Melsztyna	57
Rozaura	59
Romanza	67
NA PRZEŁOMIE	
Zwycięstwo Ormuzda	72

	Str.
Wy, co idziecie	76
Weselna pieśń	82
Nowy świat...	86
Na przełomie	87
Na gruzach	88
ZWIERCIAŁO	
Zwierciadło	93
Nocna żegluga	97
Gwiazdy losu	99
Do dzieci	101
Przed rzeźbą Dunikowskiego	103
Czary	105
Rozdzieleni	106
Znużenie	107
Teraz to my...	108
Z oddali	110
RADOŚĆ SAMOTNA	
Tonąca wyspa	113
Pieśń żeglarza	117
Zdobywać musisz sam...	120
W rytm południowej godziny	123
Przedwiośnic	125
Hymn do piękności	128
Graj mi przedziwna muzyko!...	135
Nieprzyjaciel mój	137
Radość samotna	139
Słów mi trzeba	141

70 043



Biblioteka Główna UMK



300020501072

BIBLIOTEKA ♦ ♦ ♦ ♦ ♦



VNIWERSYTECKA

700 43

♦ ♦ ♦ ♦ ♦ W TORUNIU ♦ ♦ ♦ ♦ ♦